MAGAZYN ANEKDOTOW
Czyli
ZBIOR ROZMAITYCH POWIESCI

Awantur, przypadkow, ucinkow, żartobliwych, dowcipnych, ciekawych, Hiſtorycznych, moralnych, ſatyrycznych, tragicznych, komicznych: &c. &c.

Ku rozrywce umyſlu i zabawie w poſiedzeniach.

Przez S. S.

Varietas

TOMIK II.

Cena Złł: 2.

W WARSZAWIE, 1789.

PRZEMOWA.

Pewny Gospodarz, przechodził się po folwarku z małym synkiem. Gdy przyszli do drobiu, wziąwszy ociec zgonin, rzucił kilka garści między drób.

„Tatuleńku! zawoła synek; co to Wmć Pan, to plugaſtwo daiesz, tak pięknym kokoszkom, kogutkom, gąskom i kaczkom? trzeba im czyste-go ziarna nasypać; póydę ia po ży-to, albo po przenicę. . . . „ – Nie trzeba, moie dziecię, rzecze ociec; czyste ziarno, zda się nam na coś lepszego, iak się targi poprawią; a i w tych śmieciach, nie uważay! znaydzie się nie iedne dobre ziarko. Wskuralibyśmy, żebyśmy samym

zbożem drób karmili; czyby ſię ukarmił, czy nie: a mybyśmy ſzalenie ſzkodowali. . . . „

— „ To przynaymniey, aby WPan zwolna ſyp; nie tak bezwzględnie ciſkay . . . Oto moia kokoſzka iarzębata, ſtrzepiła ſię nagle, muſiałeś ią Wmć Pan gdzie ugodzić; oto gąſka gęgni, muſiało ią co uderzyć; oto i kaczorek ſwarzy ſię, iakoby mu iakaś krzywda ſię stała! . . . „

„ — Nie wierz temu, ſynku; kokoſzka iarzębata, zna ſię dobrze z temi rzeczami, kaczorek, wytrzymałe to ſtworzenie, nie lada co iemu dokuczy; a gąſka, zwyczaynie iako gąſką, byle na co, to gęgni. Radé one takim pociſkom; na pozor niby ſtrzepią ſię, gęgnią; ſwarzą, a w rzeczy ſamey, chwytaią i iedzą.

MAGA-

MAGAZYN
ANEKDOTOW.

NAHAMIR.

Czyli uſprawiedliwienie Opatrzności, Powieść Arabſka.

Pewny charłak, garbaty, iednooki, kulawy, i bez ręki, ſiadywał przy bramie Bagdadſkiey, żebrząc iałmużny. Dziwne bluźnierſtwa rzucał ten człowiek na Opatrzność, oſobliwie kiedy mu kto wpadł w oczy, który mu ſię być ſzczęśliwym wydawał. Nazywał ſię *Nahamir*.

Jednego dnia, przyſtępuie ku niemu iakiś ſtarzec poważny, który ſłuchał iego bluźnierſtw; każe iść za ſobą. Powſtaie z pod muru *Nahamr*, i ſterbocząc ſię na ſzczudłach, idzie za ſtarcem. Wyſzli za Miaſto, uſiedli pod drzewem Palmowym, proſi ſtarzec *Nahamira*, ażeby mu opowiedział ciąg życia ſwego: zezwala *Nahamir*, i tak rzecze:

„ Jeſtem ſynem bogatego kupca z Damaſzku, którego ſkarby niezmierne, znaiome były światu całemu. Nie takimem ſię urodził, iakim mnie teraz znayduieſz. Byłem chłopcem ładnym, chodziłem proſto, miałem obie oczy zdrowiuteńkie i piękne, obie ręce, ale iakież ręce? bo to i w zręczności i w ſile tuzin by im nie dokazał! Nad to ieſzcze, miałem ſwóy handel, i znaczne ſummy w pieniędzach; iednym ſłowem byłem człowiek ſzczęśliwy. „

„ Czy nie podnióſłeś ſię w pychę z tego ſzczęścia? przerwie mu ſtarzec; — Pewnie że: bo i czemuż nie miałem ſię pyſznić z tak ſzczęśliwego ſtanu, odpowiada *Nahamir* i daley rzecz ſwoię prowadzi.

Z liczby dziewcząt, które ſię ubiegały do mego Małżeńſtwa, poiąłem za żonę, młodą, ładną i bogatą dziewczynę, (ach! ſer-

ce mi się kraie od żalu, kiedykolwiek ią sobie wspominam!) Zpłodziłem z nią sześcioro ślicznych dzieci, które mi śmierć przeklęta z tego świata zebrała, a za niemi matkę.

Po tym nieszczęściu wpadłem w ciężką i długą chorobę; oy! o choroba! popamiętam ia ią, pòki życia moiego, dała mi się dobrze we znaki. Co mnie się nameczyli Doktorowie, co narznęli Cyrulicy, co natruli specyałami swoiemi Aptekarze, ten chyba uwierzy, kto kiedykolwiek dostał się w ręce tym Ichmościom. Koniec końcem: zachowali mnie przy życiu, za co im obligacyi nie mam; ale też za to wysuszyli iak szczapę, ściągnęli flegmę z worka, a natomiast tego szkaradnego garbu, który widzisz, nabawili.

W krótkim czasie po chorobie, przespawszy noc iednę na murawie, ocknąłem się ślepy na iedno oko.

Nie długo potym, widzę z okna dwóch ludzi, biiących się z sobą na ulicy, poskoczę ku nim, chcąc ich rozbronić, posterknąłem się, i nogę złamałem.

Naostatek potykam się na mieście z charłakiem, chodzącym po żebraninie, daię mu

cekin iałmużny, a ten dobywszy korda z pod łachmanów, ni z tego ni z owego chlust mnie w rękę, i uciął.

Po tych nieszczęśliwych przypadkach, zaczął drobnieć móy maiątek, tak dalece, iż przy iedney tylko wioszczynie zostałem, w którey sobie osiadłem, myśląc resztę dni po filozowsku zpędzić; ale pokrewieństwo niegodziwe i wyrodne, wsparte protekcyą bezbożnego Kadego, tyle fortelów zażyło, iż mi i ten ostatni szczątek mego mienia, i zasiłek życia wydarło. Y tak tedy wyzuty ze wszystkiego, stary, kaleka, do torby przyszedłem; rad nie rad muszę żebrać iałmużny; i nie mamże słuszney przyczyny sarkać na Boga, i na iego nieopatrzność nademną narzekać?

„ Y to ty masz przyczynę, rzecze starzec, szemrać przeciwko Bogu, i bluźnić iego Opatrzność? ... = Abo pewnie chciałeś, żebym stary, garbaty, ślepy, kulawy, mańkut, nędzarz ostatni umieraiący z głodu, miał ieszcze Boga za to uwielbiać? — Nie inaczey; nie tylko go uwielbiać, ale nawet dziękować mu za to wszystko powinieneś.

„ Cożto ty, taki owaki, natrząsasz się z moiey nędzy? fuknie z gniewem charłak na starca: — Nie gniewąy się, odpowiada

ſtarzec; chcę ia ciebie pocieſzyć, i o twoim ſzczęściu przekonać. — O moim ſzczęściu? a nie póydzieſz mi do ſtu katów... zerwie ſię charłak, a zapomniawſzy, iż kulawy, poſterka ſię, i pada w znak na ziemię. Podnoſi go ſtarzec. „Tak ieſt, móy kochany, ſzczęśliwym ieſteś; chciey mnie tylko ſłuchać cierpliwie, a zapewne przyznaſz ſprawiedliwość mądrości odwieczney, którey tak zuchwale uwłoczyſz.

Oto nayprzód, ſam ieden z całey twoiey familii, naydłużey żyieſz na świecie; to ieſt pierwſza łaſka Boga. — Co? życie? to ma być łaſką? — A iakże? to ty za nic maſz życie? Ale poſłuchay ieno.

Od urodzenia, wziąłeś piękną i nadobną ciała poſtawę. — Tak tak; co to, to prawda, możeſz ſię kogo chcąc ſpytać, którzy mnie znali w młodym wieku, ieślim nie był ładny chłopiec i żwawy. — Wieſzże do czego cię miała przyprowadzić ta twoia uroda? — A do czego? — Drżyi nad loſem, który wiſiał nad tobą. Oto żonie Kadego miałeś wpaść w oczy podczas Bayramu; miała ſię w tobie zakochać, miała cię ku ſwey woli namawiać, miałeś zezwolić, miało ſię to wydać przed Kadym, i miałeś być na pal wbity. A co? nie le-

pieyże garbu doſtać, niźli ginąć na palu? — Ha! iużci to prawda, z drugiey ſtrony, żebym wolał kilka garbów, niż ieden pal... A że ſtraty oka, co dobrego dla mnie miało wyniknąć?

Oto Kalif, zamyślał uczynić cię pierwſzym ſwych roſkoſzy Miniſtrem. Gdybyś był na oko nie oślepł, przyſzłoby było zapewne do tego, wyrzezanoby cię; a co? czy lepiey ieſt oko ſtracić, czy zoſtać rzezańcem? — Iużci wolę być bez oka.... — No, to widziſz. Poſłuchayże teraz o nodze.

Czy pamiętaſz owę przepaść, w któreybyś ſię ſtłukł na miazgę i zginął, gdyby nie ſzczudło, na którymeś ſię oparł, wſtrzymało cię? — Prawda, pamiętam coś iak przez ſen o tym trefunku. — Jak przez ſen pamiętaſz? O! ludzie niewdzięczni! to to u was iak we śnie ſą te cuda, które codzień dla was dzieią ſię? a na naymnieyſzy trefunek, powſtaiecie na Opatrzność z żalami i bluźnierſtwy? — Trefunek! właśnie dobre nazwiſko! to to klęſki tak okrutne ty trefunkami nazywaſz?... Ale iak ſobie chce, wytłómacz mi ſtratę ręki; bo maſz iako widzę ducha Prorockiego. Jak to ia w ten czas, kiedym czynił dobry

uczynek, kiedym dawał iałmużnę żebrakowi prośzącemu na imie Boga, mógłem na iey ftratę zafłużyć? — Bądź pewien, iż ucięcie ci ręki, była to właśnie nadgroda tego dobrego uczynku. — Piękna nadgroda! za cekin ieden ręki poftradać!

A pamiętaśzże ów bal *Husseina*, na którym ci dano zaczepkę? — Prawda! oy żebym był miał rękę, nauczyłbym tych zuchwalców! — Porwał byś śię do korda? — Nie ochybnie. — Y zrąbanoby cię w drobne śztuki. — A zkądże ci ta wiadomość? — Bądź pewien, iż iak słońce na niebie, takby to cię nie minęło. — Ośobliwśzy człowiek! nie zadługo. to on widzę wmówi we mnie, iż iedynym ieftem Opatrzności faworytem! ... No iuż iak śobie chce, mnieyśza o urodę, mnieyśza o oko, o nogę, o rękę; ale przynaymniey żeby była żyła moia żona! — Miała ci śię przeniewierzyć, i zginąłbyś marnie z rozpaczy. — A moie dzieci? — Mieli być zdraycami i upadkiem oyczyzny. — A móy maiątek? Gdybyś był bogatym, przeznaczenie takie było, żebyś na złe użył twych bogactw; podniósłbyś śię w pychę, zatwardziłbyś śerce twoie, wylałbyś śię na wśzelkie wyftępki, iednym słowem: zoftałbyś potworą rodzaiu

ludzkiego! — Tak, i dla tego Bóg mi wſzyſtko odebrał; a cóż mi zoſtawił? — Cnotę; widziſz, oto teraz nie ieſteś winnym żadnego wyſtępku, nie gryzie cię o nic ſumnienie; ieſteś biednym ale nie ieſteś złym. „ Tu ſtarzec kładzie ręce na oczy charłaka, i w iednym momencie wyſtawia mu nie przeliczone nieſzczęśliwości, które z wielu rzeczy pochodzą, mianych od ludzi za dobre, a oraz okropne przypadki, których nieſkończona moc ludzi doznaie, a on od nich ieſt wolen. „ No! terazże utyſkuy na Boga, rzecze ſtarzec do *Nahamira*, bluźniy iego Opatrzność, ſkarż ſię, żeś ieſt z ludzi naynieſzczęśliwſzy.... A gdy to mówi, nikną marſzczki twarzy iego i poſtawa ſtarca. Maieſtat bóſtwa iakiegoś wydaie ſię w pełnych blaſku licach, podnoſi ſię kibić, niby cedr wyſoki; ſypią ſię z oczu błyſkawice... iednym ſłowem: Anioł daie ſię widzieć w całey ſwoiey piękności.

Nahamir pada na twarz. Anioł mówi do niego: znoś cierpliwie twoię niedolą; po śmierci, czeka cię inne życie, pełne ſzczęścia wſzelkiego. „ Znika Anioł, a *Nahamir* wraca ſię do Bramy Bagdadſkiey żebrać iałmużny, i uwielbiać Boſką Opa-

trzność, że go zrobiła dziadem, żebrakiem, garbatym, iednookim, kulawym i bez ręki.

PARYZANIN WĘDROWNIK.

Wziętość ta, którą ięzyk Francuzki u wſzyſtkich polerownych narodów otrzymał, ſtaiąc ſię prawie powſzechnym, tak daleko wſtręt ſprawuie w Francuzach od obcych ięzyków, iż ich ſię uczyć nie chcą, rozumieiąc, iż z iednym ſwoim ięzykiem cały świat obiadą, Paryżanie oſobliwie tak mocno zapędzaią ſię w tym ſwoim uprzedzeniu, iż za niepodobną rzecz ſądzą u ſiebie, żeby na całym okręgu ziemnowodnym, znalazł ſię aby ieden człowiek, któryby po Francuzku nie mówił.

Prawda, iż we wſzyſtkich kraiach Chrześciańſkich, Dwory, uczeni, i cokolwiek wyżſzey nad gmin kondycyi ludzie, uczą

śię Francuzkiego języka, i doſtatecznie rozmówić śię nim mogą; ale też i to prawda, że po wſzyſtkich kraiach świata, gmin zażywa naywięcey rodowitey mowy. Na potwierdzenie tego, dość mi ieſt wyrazić, iż po wielu Prowincyach Francuzkich, gdzie rodacy mówią wprawdzie po Francuzku, lecz właściwym ſobie akcentem, to ieſt: *en patois*, z trudnością przychodzi Paryżanom zrozumieć śię z niemi w rozmowie.

To tak wielkie uprzedzenie i zaufanie Francuzów o ſwoim języku, kiedy z nim tylko iednym za granicę puſzczą śię, bardzo wiele pocieſznych nader ieſt przyczyną kawałków, których naſtępuiący niechay będzie przykładem.

Pewny młody Paryżanin, wybrawſzy śię do Amſterdamu, poſtrzegł przedziwnie piękny dom wieyſki, nie daleko od kanału, którym płynął. Obraca śię zatym do Holendra, iadącego wraz z ſobą w iedney barce, i pyta go po Francuzku: Moſpanie, chciey mnie WPan uwiadomić, do kogo ten dom należy? Holender, nieświadomy Francuzkiego języka, odpowiada mu Holenderſkim: *Ik kan niet verſtaan*, to ieſt: *nie rozumiem.* Paryżanin, zaufany, iż Holender umie po Francuzku, bierze odpowiedź

Holenderſką za nazwiſko właściciela domu, „ Aha! rzecze, rozumiem, to ieſt dom Pana *Kaniſerſtana*! Dalipan, Moſpanie, wyznać neleży, iż Pan *Kaniſerſtan*, muſi być człowiek wyſokiego guſtu! Cale piękny dom i ogród takoż cale roſkoſzny; a cóż to dopiero wewnątrz być muſi? przyznam ſię WPanu, że tak pięknego pomieſzkania nie zdarzyło mu ſię nigdzie widzieć.... Jeden mòy krewny, ma też także nad rzeką w bok *Choiſi*, podobny Dworzec do tego; ale iabym ſię od razu na ten pomieniał... „ Przygląda ſię coraz temu domowi, wypatruie po ſtronach inne; ten wſzelako nad wſzyſtkie przenoſi, chwali, i obſzernie o nim po Francuzku rozprawia, a Holender, nic tego nie rozumieiąc, ſiedzi w minie poſępney i tytuń pali...

Stawa w Amſterdamie. Ledwo co wſzedł do Miaſta, napotyka urodziwą damę, ućciwie ubraną, idącą z młodziuchnym kawalerem, właśnie niby z ſynem lub bratem Ciekawością zdięty, coby to była za oſoba, pyta ſię o niey po Francuzku przechodzącego mimo ſiebie Holendra, co to za Dama? Holender ten, zwyczaynie iako proſty Holender, odpowiada mu tak iak pierwſzy: *Ik kan niet verſtaan.* „ Jak? iak? zawoła Pa-

ryżanin, to to żona Pana *Kaniferſtana*?...... koło którego domu płynie ſię do Amſterdamu?... no! prawdziwie ieſt czego pozazdrościć Panu *Kaniferſtaan*? proſzę uniżenie! i dom ma tak piękny, i żonkę tak ładną!..

Poſtępuie daley w miaſto.... Patrzy, aż mieyſcy Trębacze, otrębuią na ulicach wygraną od pewnego Obywatela, bardzo wielką ſummę na Loteryi Kraiowey; pyta ſię iednego z przechodzących, iak ſię zowie ten człowiek tak ſzczęśliwy, który wygrał na Loteryi? Odbiera znowu odpowiedź od niego: *Ik kan niet verſtaan*. „A! do ſtu katów, krzyknie z zadziwieniem, a to ten Pan *Kaniferſtaan*, iedyny ieſt człowiek na świecie! czy podobnaż to, żeby być razem i dziedzicem tak pięknego domu! i mężem tak ładney żony! i ieſzcze na Loteryi tak wielką ſummę wygrywać!.. Day go Bogu! ha! iuż to kiedy komu ſzczęście ſłużyć zacznie, to iuż ſłuży do zbytku! Dalipan! ten Pan *Kaniferſtaan*, ieſt iedyny Oryginał!...

Pełen zadumienia Paryżanin, nad taką ſzczęśliwością Holendra, napada naoſtatek na bandę ludzi uſtroionych w żałobę, i czyniących przygotowania do pogrzebu;

pyta z nich iednego: kogo to będą grzebli? Jak na złość, trafia znowu na proſtego Holendra, ten trznąſnąwſzy głową, odpowiada po ſwoiemu: *Ik kan niet verſtaan.* „Co ia ſłyſzę? krzyknie z entuzyazmem Paryżanin, aż odſkoczył od niego przeſtraſzony Holender; iak to? Pan *Kaniſerſtaan?* co to poſiada tak roſkoſzny dom nad kanałem? co tak urodziwą ma żonę? co tak wielką ſummę wygrał na Loteryi? ten zaś umarł?.... Ach! cóż to za okropne zdarzenie! cóż to za okrutna śmierć! od takich dóbr, z łona ſzczęśliwości, porywać człowieka!... Nieboraczek! gorzkież tam było iego rozſtanie ſię z tym światem! Otóż to ſzczęście! Otóż życie ludzkie!... i w tych myślach zanurzony, wſzedł do domu gościnnego.

NADGROBEK.

Pewny rzemieślnik w Anglii, umieraiąc taki kazał ſynom ſwoim wyryć ſobie napis na nadgrobku.

Doſyć długo, co do czaſu;
Doſyć krótko, co do guſtu;
Żyłem.
Doſyć wiele
Jadłem,
Jeſzcze więcey
Piłem.

* * *

Co ſię z tego zawiązało,
Trzyma ziemia wziąwſzy ciało:

Już mi nic nie trzeba,
Pospieszam do Nieba. (1)
Y kwita.

☆ ☆ ☆

Troie chłopców,
Z mnie wiadomych rodzicielki,
Na usługi Oyczyźnie,
Oddaię.

☆ ☆ ☆

W Kuchni:
Rożen ieden bez pieczeni.
W Szpiżarni.
Jednę faskę od masła,

---

(1) Pewna uwaga krytyczna, osądziła potrzebne dodanie w tym mieyscu przypisku, *na kwaśne piwo*, a to dla uniknienia zgorszenia, żeby kto nie uwierzył, iż w rzeczy samey ten Anglik, tak pewnie stanął w niebie, iak się spiesznie do niego wybierał.

Jednę krupkę od ſoli,
Grzędę od kiełbas,
Haki od ſzynek,
Co ſię znaydzie ſzczurów i myſzy.

W Piwnicy:

Kilka beczek z drożdzami,
Y kilka ieſt próżnych butelek.

W Mieście:

Stary Dworek.

W Kieſzeni:

Puſty worek.

W Izbie:

Zbotwiałe graty,
Łatane ſzmaty,
Na zaſpokoienie długów
Zoſtawiam.

* * *

Kufer z papierami,
Moich przodków tytułami,

Prawami, czynami,
Kochanemu potomstwu
W puściznie
Zapisuię.

* * *

Nie zapomnisz o mnie Narodzie;
Bo żyć będę w moim rodzie.
Upewniam.

ROZWOD NIESPODZIANY.

Pewny Kapral Angielski, zkazany na śmierć, postanowił donieść o tym żonie swoiey, mieszkaiącey w odległey od Regimentu Prowincyi. Napisał tedy do niey, dniem przed śmiercią. A że list, iuż po Exekucyi iego, miała żona odebrać; więc tak pisał, iakby się stało. Ten list był w tych słowach. „

„ Kochana żono! Nie pytam się, iak się
„ masz; bo cokolwiekbyś mi o zdrowiu
„ twoim i powodzeniu doniosła, to mnie
„ pewno nie doydzie. Ja w zupełnym sta-
„ nie zdrowia zostaiąc, oznaymuię ci, iż
„ dnia... między iedenastą z rana i dwu-
„ nastą godziną, obieszony zostałem. Bo-
„ gu dzięki! że tak letką śmiercią zszedłem
„ z tego świata; i bardzo mi to miło było
„ patrzeć, iako wszyscy, moiey śmierci
„ przytomni, żałowali mnie iawnie. Noś
„ mnie zawsze w pamięci, i biednym dziat-
„ kom moim przypominay mnie często,
„ które od tąd, są sieroty bez oyca. Twóy
„ szczerożyczliwy mąż aż do ostatniego
„ tchu życia. „

Pomimo tego doniesienia, nad nadzieię swoię, otrzymał ten Kapral iuż na placu pardon od Króla. Wszakże żona odebrawszy list takowy, i rzewliwym płaczem, podług zwyczaiu, wypłacewszy ostatni dług przywiązania swego ku niemu, nie tracąc czasu, zakrzątneła się szczerze około zniesienia swego sieroctwa. Czy gotowy był koadjutor, czy tak tylko zamówiony wcześnie następca, czy też w razie nawinął się; pobrała sie z nim wkrótce, okazawszy komu należało, list pierwszego męża, iego własną ręką pisany.

Wypuſzczony na wolność Kapral, przyieżdza do żony. Jakie pomieſzanie i zadziwienie było w domu z ſtrony oboiey, łacno każdy ſię domyśli. Ukazała ſię omyłka, i mogła być poprawioną; ale on chętnie pretenſyi ſwoiey do żony uſtąpił, kontent będąc, iż nadſpodziewanie ſwoie, i bez koſztu, rozwód pozyſkał.

KAZNODZIEIA.

Przeſzłego wieku, *X. Andre*, Kapłan pewnego Zakonu i Klaſztoru w Paryżu, człowiek święty, i w oſobliwſzey oſtrości żyiący, kazywał po różnych mieyſcach, ale bez wſzelkiego względu i obrzeżków. Nie umiał on uwiiać prawdę w bawełnę; rznął ią z układu i po proſtu.

Kiedy Królowa Francuzka przyſzła do Kościoła w pół iego Kazania, nie powtarzał on go z początku, według tamecznego zwyczaiu; ale powitawſzy ią krótko — „ *Nayiaśnieyſza Pani! iedną ręką czekamy; przyim, na coś trafiła* „ kończył rzecz ſwoię.

Podczas Kazania o miłoſtkach i rozwiązłości kobiet, oświadczył ſię, iż uznaiąc iednę znayduiącą ſię na tym Kazaniu a iawnie celuiącą inne w takowym wyſtępku, wymieni ią publicznie dla iey zawſtydzenia. . . . „ Ale nie, coſa ſię nazad; nie uczynię tego; miłość Chrześciańſka zabrania mi takowego poſtępku. . Z tym wſzyſtkim, prawi daley, mamże nieprawości folgować? Bynaymniey, ſłuchacze. Owóż pogodźmy te rzeczy; nie wymienię iuż iey po imieniu, ale tylko myckę moię z głowy, nań rzuciwſzy, wytknę ią wam. „ To rzekłſzy, zdeymuie myckę z głowy, gotuiąc ſię ią rzucić. „ Oto ta, prawi, ta ſama, ta niegodziwa, patrzcie dobrze ſłuchacze . . . . — Jaka taka kobieta ſiedząca bliſko Ambony, zaczęła ſię uchylać, żeby na nią Xięża mycka nie padła. . Tu dopiero zawoła Kaznodzieia: „ Przebóg! co ia widzę? a cóż to tu tego! iam tylko wiedział o iedney, a tu właſne ſumnienie bardzo wiele ich ukazuie!

Porównania iego i podobieńſtwa, brane były z naypotocznieyſzych rzeczy. Każąc w Niedzielę z Ewangelii o Bogaczu i Łazarzu, przyrównał ubogiego do kury, a bogacza do pieſka Bonońſkiego. „ Bogacz,

„ prawi, póki żyie, tak ſobie z nim Bóg „ poſtępuie, iak damy z pieſkiem Bonoń- „ ſkim. Dzielą ſię one z nim naylepſzemi „ przyſmaczkami, pozwalaią wſzelkich wy- „ gód i pieſzczót, opaſuią wſtążeczkami, „ palca nań zakrzywić nikomu nie dadzą. „ . . . Niechże ieno tylko wyidzie duch z „ pieſka; alić on, poſzedł won na gnóy „ i śmieciſko. Przeciwnie, kura, biedne „ pędzi życie; nie puſzczą iey do pokoiu, „ nikt nie ma o niey ſtarania, ſama ſobie „ po śmieciach i dworze ſzukać muſi po- „ żywienia; naypodleyſze ziarniwo iey ſy- „ pią, i to rzadko; pod gołym niebem, na „ deszczu, ſzturmach, źimnie i upale zo- „ ſtawać muſi, w zarzuceniu i nędzy. Ale „ po śmierci wnoſzą ią do Pańſkich po- „ koiów, ſtawiaią ze czcią na ſtole, chwa- „ lą ią, zalecaią i nią ſię roſkoſzuią. . . „ Otóż tak ſię dzieie z Bogaczem i nędza- „ rzem u Boga. Szczęśliwy ieſt, póki ży- „ ie Bogacz; ale po śmierci ma pogrzeb „ w otchłani piekielney: gdy tym czaſem „ ubogi, wytrzymawſzy krótką biedę na „ tym świecie, po śmierci na łonie Abraha- „ mowym ſpoczywa.

Jeden Kaznodzieia Zapuſtny, tak rozłożył oſnowę trzech kazań ſwoich przez trzy dni *Oſtatków*.

W Niedzielę Zapuſtną: z dziſieyſzych, prawi, ſwawoli, dowodzić będę, iż wſzyſtkich ſzaleńców powypuſzczano z domu *Waryatów*.

W Poniedziałek Zapuſtny: z dziſieyſzych nieprawości, ukażę, iż wſzyſtkich łotrów powypuſzczano z więzień.

We Wtorek Zapuſtny z dziſieyſzych bezbożności, przeświadczę was ſłuchacze, iż wſzyſtkich diabłów powypuſzczano na świat z piekła.

Pewny Bernardyn, idąc z Kazaniem do wioſki, wpadł między rozbóyników. A że nie miał nic przy ſobie; więc odmówiwſzy krótką Ancyfonę: *Będzie śpiewał prożny, przed zbóycą podróżny*, ſtawił ſię im z dobrą miną.

Otoczyli go zbóycy; a ieden z nich rzekł: „ *Ponieważ móy oycze, goły ieſteś, i niczym ſię nie pożywim od ciebie; więc przynaymniey wykup nam ſię twoim towarem: oto powiedz nam Kazanie na naſzę pochwałę.* „

Zgoda, Dobrodzieiu, odpowie Bernardyn, a wlazłszy na wzgórek, tak do nich rzecze:

„Moi Panowie, nie mogę was więcey „uczcić i pochwalić, iako gdy życie wasze „z życiem Chrystusa Pana, które pędził „tu na ziemi, porównam. Cierpiał on „powłóczenie i potułanie tu i owdzie; i „wy się wszędzie włóczycie. Chodził on „z mieysca do mieysca z swemi Uczniami; wy bandami chodzicie. Ugeszczał „do Faryzeuszów i iawnogrzeszników; i „wy, nie z kim lepszym przestaiecie. Wytrzymywał po wielekroć słoty, szturmy, „zimna i upały, i wszelkiego gatunku niewygody; i wy też same niewygody i „niewczasy wytrzymywać często musicie. „Chodził bosemi nogami; i wasze obuwie, „nie wiele co czyni różnicy od nóg bosych. „Jednę tylko miał suknią; i wasza, tak „rozumiem, garderoba, cała na was. Nie „miał przy sobie, ani złota, ani srebra; „zdaie mi się, że i przy was nie wieleby „go znalazł. Pościł przez czterdzieści dni „na puszczy; i wam się toż bardzo często trafia. Kuszony był od diabła; wy ustawicznie. Zaniesiony na krużganek Kościelny, i wierzchołek góry; i was dia-

„ beł częſto noſi po górach, dla wypatry-
„ wania podróżnych. Łaknął i pragnął; i
„ wam także głód i pragnienie bardzo
„ częſto daie ſię we znaki. Był wzgardzo-
„ ny od wſzyſtkich; i waſz los ieſt takiż.
„ Żydzi uſtawicznie nań dybali, żeby go
„ poymać; i na was ſtrażnicy równie dy-
„ bią. Zdradził go i wydał Judaſz; i was
„ którykolwiek z bandy waſzey zdradzi i
„ wyda. Był poymany, prowadzony, zkrę-
„ powany i więziony; i was kiedykolwiek
„ to ſpotka. Stawiono go przed Anna-
„ ſzem, Kaifaſzem, Herodem, i Piłatem, i
„ wy czaſu ſwego przed Sędziami ſtanie-
„ cie. Biczowany u pręgierza, i was ta
„ cześć nie minie, ieśli tylko iuż którego
„ nie ſpotkała. Zawiſł na Krzyżu między
„ dwoma łotrami; i was wkrótce na ſzubie-
„ nicy powieſzą. Zſtąpił do piekłów; i
„ wy tam póydziecie. Wſtąpił na Nie-
„ bioſa; co tu, Moi Panowie wybaczcie,
„ iż was równać z Chryſtuſem nie mogę;
„ bo was diabli pobiorą, do Nieba niepu-
„ ſzczą, ieżeli ſię nie upamiętacie. Co day
„ Boże, Amen.

MIRGLIP

Powieść Perska.

Na początku Egiry Tureckiey, panował w Perſyi *Adbim*, nazwiſkiem *Wſpaniały*, który przeniósł Stolicę z *Iſpahanu* do *Raglai*, gdzie ſobie obrał i założył mieſzkanie naywytwornieyſze i naywſpanialſze nad wſzyſtkie gmachy ſwoich poprzedników.

Pałac Królewſki podnoſił ſię ku Niebu, ni to Miaſto wielkie, na górze *Orez* pośrzód bardzo obſzerney równiny, którą *Adbim* opaſał czterema murami, maiącemi wyſokości ſtop 200. a około nich wał, obłożony marmurem, ſzeroki był na dziewięć powozów, wciąż iednych za drugiemi ſtoiących.

Że nie było rzeki w pobliżu; tedy trzy tyſiące zpędzono ludzi, do rznięcia i kopania kanału, dla ſprowadzenia wody, z wielkiey rzeki *Aboutury*, na równinę *Orez* do rozległego ieziora.

Adbim w ogrodach, które od murów, aż do góry ciągnęły się, wybudował tysiąc Pałaców, dla Urzędników nadwornych i woyskowych. W pośrzód tych tysiąca pałaców, wynosił się pałac Króla Perskiego na górze, którey wierzchołek wyższy był, więcey niż na ośmset stóp nad strych rzeki *Aboutury*.

Te tak pyszne gmachy, poczynione od siebie, uważaiąc z pałacu swego *Adbim*, podniósł się w pychę „ *A co?* mawiał często do swych Dworzan, *któryż Monarcha iest równy Adbimowi?* .... *Lemak* Wezyr iego, i cały Dwór, iednomyślnie odpowiadał, iż *Adbim*, Namieśnik Naywyższego, nie miał w całym świecie sobie równego

Ta pochwała codziennie powtarzana, naprzykrzyła mu się wkrótce; żądał pochwał stosownieyszych do swey wielkości. Zgromadził tedy Sułtanki Saraiu, i rozkazał im przyglądać się gmachom wystawionym od siebie. Ale i tych, lubo nad miarę rozwodzone pokłąski; nudnemi iednak, i nie dosyć do zamiarów swoich stosownemi wydawały mu się; odprawił ie więc z nieukontentowaniem.

Woła nagle swego Wezyra, i to rzecze do niego: „ Ponieważ ci, którzy są nayblizsi boku mego; i którym naywięcey łask

wyświadczyłem, nie umieią poznawać ſię na całym obwodzie wielkości moiey i chwały; poſtanowiłem więc zaſięgnąć w tey mierze zdania moich naybliżſzych poddanych. *Lemaku*, każ zrobić dwa ubogie odzienia, dla mnie i dla ſiebie; dziſieyſzego wieczora, przebrawſzy ſię *incognito*, wyidziemy na miaſto....

Przyſzła noc, Sułtan z Wezyrem ſwoim, przeſtroieni w ſuknie ubogie, wyſzli z Zamku *Orez*, i oparli ſię aż na przedmieściu oſtatnim, tuż przy murach leżącym.

Napotkali na ſam przód dwóch kupców, powracaiących z komory, gdzie zapłacili nowe cło, nałożone od Sułtana na wſzyſtkie towary, dla funduſzu na fabrykę owych gmachów niezmiernych. „Ach! mówi kupiec do kolegi, ſkazuiąc na Sułtana i Wezyra, oto zapewne dway niegodziwi rzemieślnicy, których Sułtan zażywa do budowy ſwych pałaców, a których każda cegiełka nas tak drogo koſztuie! Cały naſz maiątek, pochłoną te przeklęte fabryki; a potym cóż? oto przyidzie póyść z torbą w świat o żebranym chlebie.... — Dobrze ty mówiſz, odpowie mu kolega; ale *Adbim*, nie wie podobno, iak ſą uciemiężeni obywatele, tey tak wſpaniałey iego Stolicy *Raglai*. O! iak-

by ci ludzie bez porównania byli ſzczęśliwi, gdyby Sułtan nie miał tyle ambicyi; a tak ſkromne, według ſtanu ſwego, iak naſz Filozof, życie prowadził....

Wezyr namawiał Sułtana, żeby ſię wrócił do zamku; ale ten nie chciał. ,, Alboż to, rzecze wſzyſcy moi poddani ſą kupcami? .... zazwyczay każdy kupiec, kiedy mu przyidzie opłacać podatek, nie kontent ieſt, i narzeka; idźmy daley. ,,

Poſzli; ale kogo tylko napadli, każdy na przepych i zbytnią wſpaniałość *Adbima* utyſkiwał, a wielkiemi pochwałami Filozofa ſkromność wynoſił.

Rozgniewany Sułtan powraca do zamku, a Wezerowi przykazuie, żeby nazaiutrz rano, tych wſzyſtkich, których ſpotkali, chodząc w nocy po mieście, ſtawił przed nim, chcąc ſię od nich wywiedzieć, co to za ieden był ów Filozof, którego wſzyſcy przenoſili nad ſiebie.

Nieborak Wezyr, muſiał nie ſpać całey nocy, i tłuc ſię po mieście, żeby wſzyſtkich, których napotkali, zebrać, i Sułtanowi przyſtawić.

Gdy ſtanęli, pyta ſię ich Sułtan, co to za Filozof, którego ważą ſię zuchwale przenoſić nad ſiebie? odpowiadaią wſzyſcy ie-

dnomyślnie, iż to nieiaki *Mirglip* Pers, którego cnota warta korony. *Adbim* wydaie rozkaz, żeby mu wraz przyprowadzić *Mirglipa.* .. ſtawa *Mirglip.*

Złośliwy Wezyr, chciał żeby mu Sułtan kazał zaraz łeb uciąć; ale *Adbim* zwrócił go oświadczaiąc: iż ieżeli człowiek ten, w rzeczy ſamey ieſt takim, iakim w oczach wſzyſtkich wydaie ſię i ſłynie, tedy wart względów Monarſzych raczey niżli gniewu.

Wſzyſcy pochwalili tak wſpaniałe zdanie Sułtana, ieden tylko *Lemak* ie ganił; wſzakże nie mogąc nic poradzić, rad nie rad muſiał zaiadłość ſwoię ku *Mirglipowi* pokrywać.

„ Powſtań, rzecze Sułtan do *Mirglipa,* leżąc go przed ſobą na ziemi; podobałeś mi ſię: odtąd żyć będzieſz w przepyſznych gmachach mego Pałacu, chcę codziennie z tobą bawić ſię .... „ — Raczy Pan móy, hamować wylew łaſki ſwoiey na mnie, odpowiada *Mirglip* z pokorą; wychowany w ſtanie podłym, w gęſtwie laſów niewolnik, nie potrafi odpowiadać tey czci, do którey go Pan iego wynoſi. Nie do twarzy mi grać rolę Dworzanina.... — „ Jako? ofuknie „ go Sułtan, Pańſką łaſką pogardzaſz ? ie„ chał cię ſęk, to żyiże ſobie z łaydakami.

„ Dosyć głupstwo twoie ukarzę, skłaniaiąc „ się do twey proźby... Won mi z oczu; „ idź, zkądeś przyszedł, a nad stratą łaski „ twego Monarchy, płacz do śmierci. „ Odszedł do pokoiów swoich rozgniewany Sułtan z swym Wezyrem; a lud, poniósł na ręku *Mirglipa*, wychwalaiąc iego wzgardę wspaniałą wielkości ziemskich.

Duma *Adbima* srogie nader odnosiła zewsząd pociski; ale postępek *Mirglipa*, zadał iey cios ostatni. Uważaiąc, iż pałace iego tak kosztowne, tak pyszne, nie czyniły w umysłach poddanych żadnego wyobrażenia owey wielkości, którą sobie głowę nabił; poglądał na nie z omierźliwością i wstrętem.

Lemak, świadek niespokoyności swego Sułtana, cieszył się ztąd w sercu swoim nieżmiernie. Nie pytał się on o to, czy *Adbim* iest szczęśliwy albo nie? byleby był łaskaw na niego, i byleby mu się dobrze działo.

„ Miłościwy Sułtanie, mawiał mu nie raz podchlebnie, wielkie to tylko dusze, i umysły wysokie mogą prawdziwie znać szacunek i przepych twych przedziwnych budowli.... Cóż mi *Mirglip*, albo iemu podobni? u nich, cud świata, i dzieło naywy-

tworniey∫ze ∫ztuki budowniczey, a pro∫ta iaka góra, to w∫zy∫tko zarówno . . . Jak głupie ptaki, co lataiąc po powietrzu, ∫iądą raz na pałac Królewski, a drugi raz na chłop∫ką chałupę, nie uważaią one, co? gdzie? iakie? nie umieią rozeznawać, co to znaczy Per∫ki Monarcha, a co pro∫ty chłop i gałgan! . . . .

Lemaku, odpowiada mu Sułtan; rozumie∫z że tą twoią mową, przyno∫i∫z mi ulgę w gryzocie? nie, więcey iey ie∫zcze przyczynia∫z. Widziałem pta∫zynę, ścielącą ∫obie gniazdko, i śmiałem ∫ię z iey dzieła; a kto to wie, może ona, uno∫ząc ∫ię po powietrzu, więk∫ze ∫obie teraz z tych moich gmachów żarty czyni, i ich przepych wy∫zydza! . . .

Taką rzeczą, mówi *Lemak*, ∫łu∫znie Pan ma za przykre ∫łowa ∫ługi ∫wego. — Móy kochany, twóy Pan, odpowiada *Adhim*, ∫am ∫obie i z ∫woim obmierzł przepychem, iak prędko ieden wieśniak więcey waży u ludzi przez ∫woie cnoty, niż Sułtan Per∫ki w całym bla∫ku Maie∫tatu ∫woiego. —

Ale dla Boga! co tam bałamuctwa ∫zalonego wieśniaka, maią Pań∫ki umy∫ł obchodzić, i ∫pokoyność iego mie∫zać? . . . Dzie∫ięć ty∫ięcy niewolników, poświęcone ∫ą dla Pań∫kiey uciechy! . . . Oto dla Pana mego

krocie myśliwych, zapuściwszy psy w knieie, pędzą stada źwierząt przed sobą.. Oto wdzięk melodyiny przecudney muzyki, napełnia podziwieniem wietrzne stworzenia; a odgłos chwały Pańskiey, pod niebiosa zanosi.... Oto milliony poddanych berłu Pańskiemu narodów, moc i wielkość Pana mego ukazuią nad światem... Oto słońce samo w rzęsistych promieniach, hołd pokorny Panu memu w iego gmachach oddaie.. Oto dziewczęta wschodu całego, pięknrzą się do usług Pańskich, i niewinne serca niosą w dań iego czułości.... Wszystkich oczy, obrócone są na Pana moiego; wszyscy drżą na iego skinienie; losy wszystkich w iego ręku!... No! i cóż ty, odezwie się *Adbim*, za ukontentowanie dla mnie w tym wszystkim zasadzasz? Być zbóycą leśnym.; płoszać źwierzęta,.. zabiiać lwy i niedźwiedzie... to to ma być roskosz?.... Chwała moia na parze wychodzącey z trąby i rozsypuiącey się po powietrzu ma zależeć?... Albo to ma być co osobliwszego, że słońce móy dom oświeca? wszakże pierwey, nim się u mnie ukaże, gdzie indziey rozsypuie promienie; a zchodząc z mego pałacu, może z większą ochotą bieg swóy popędza, żeby lichą iaką chatę ubogiego wieśniaka

śniaka oświecić na drugim półsferzu? . . . A ztąd, co dla mnie za pociecha, iż milliony drżą przedemną, i kaprysow moich lękaią się?... Rozumiesz, że miłość kobiet, mam sobie za szczęście?... O! mylisz się moy kochany, nic mnie one, nie mnie, ale siebie kochaią; przepych i blask Tronu mego, dostatek i skarby moie, te są ich czułości zasadą, te miłości ich celem. Nie spoyrzałaby żadna na mnie, żebym nie był Sultanem, ale iakim na wsi chłopem . . . . *Mirglip*, czyniąc iaki cnotliwy uczynek, iest bez porownania szczęśliwszym od *Adbima*, siedzącego na Tronie Perskim, w pośrzod przepychu i zbytku. . . . Tak iest, moy kochany, tak; *Mirglip* szczęśliwszy iest od nas; *Mirglip* iest wart naszey przyiaźni, i pewno przyiacielem naszym zostanie, skoro my cnotliwemi być, tak iak on, zechcemy. ... Jutro rano przed wschodem słońca, staw przedemną *Mirglipa*.

Wezyr przywykszy być naypierwszym po Sultanie, przeyrzał bardzo przezornie, iż moment przyięcia do łaski Pańskiey cnotliwego *Mirglipa*, będzie momentem wypadnienia z teyże łaski złośliwego *Lemaka*. Miał z razu chęć, kazać go zabić; ale potym przyszła mu inna mysl, poradzić się

czarnokſiężnika *Flarego*, od którego brał nauki w ſwoim dziecińſtwie.

Flari, poradził *Lemakowi*, żeby poſzedł do Sułtana z donieſieniem, iż nie może mu przyſtawić *Mirglipa*, bo ſię upił winem. „Jeżeli, prawi, Sułtan wiary ci w tym dać nie zechce, tedy mu przyrzecz, iż naſtępuiącey nocy, ukażeſz mu piianego *Mirglipa*, a ia to biorę na ſiebie.

Wezyr, poſłuchał rady czarnokſiężnika, a Sułtan niechcąc temu wierzyć, kazał *Lemakowi* przynieść ſobie wieczorem owe ſuknie, w których dawniey przebrani chodzili po nocy, maiąc wolą ſam doyść prawdy, uczynionego ſobie donieſienia.

Wie o tym *Flari*, i przebrawſzy ſię co prędzey za kupca, idzie tegoż wieczora podedrzwi *Mirglipa*, ktory go ze wſzelką uprzeymością w dom ſwoy przyimuie. Zmyślony kupiec, poſiliwſzy ſię pokarmem, udaie przed *Mirglipem*, iakoby ztrudzony podróżą, i opadły na ſiłach, chciał ſię winem zaſilić, i żeby mu go *Mirglip* udzielił. *Mirglip* oburknie ſię na niego, iż zakazanego trunku, po nim wyciąga, i klnie mu ſię, iż w całym domu iego, ani kropli wina niema, iako niegodziwości, prawem Naywyż-

ſzego, i świętego iego Proroka, zabronioney.

Czarnokſiężnik, pada na ziemię, iako konaiący, wołaiąc: iż kropla wina, może go do życia przywrocić. *Mirglip*, uwiedziony tą ſztuką, pobiegł czymprędzey po wino. A gdy powracał do domu, *Adbim* i *Lemak* zaſzli mu drógę przed ſienią, i znaleźli przy nim wino. Trudno wyrazić, iak to zgorſzyło Sułtana! Poſzedł rozgniewany do pałacu, i rozkazał Wezyrowi, ſtawić nazaiutrz przed ſobą *Mirglipa* z *Flarym* czarnokſiężnikiem.

Niegodziwy czarnokſiężnik, ſtanąwſzy przed Sułtanem, dziwne rzucał potwarzy na *Mirglipa*, tak ſubtelnie ułożone, iż nie pozwolono mu na nie odpowiedzieć, a Sułtan, zawieſzaiąc dekret śmierci, kazał go w wieży oſadzić, która była pod górą.

Lemak, widząc, iż pognębił cnotliwego człowieka, którego cierpieć nie mogł, ſtarał ſię uczynić iaką rozrywkę Panu ſwemu, i kazał przywieść do niego co naypięknieyſze niewolnice, iakie tylko można było wynaleść. Między niemi, ładna *Nourenbi*, wpadła w oczy Sułtanowi. Jey ſkromność i wdzięki niewinne, uięły go za ſerce. „Cudo natury! zawoła z podziwieniem, co za

C ij

kray, tak przedziwny utwor wydał! muſzę ią oſadzić w moim pałacu... Tak ieſt, śliczna *Nourenbi*, poſiądzieſz Tron Perſki; warta twoia uroda naywyżſzego ſzacunku, twoia familia, będzie oraz i moią.

Nieſtety! rzecze *Nourenbi*, łzami zalana, ociec moy przyzwyczaiony do życia uſtronnego i ſkromnego, przeklinać będzie córkę ſwoię, kiedy Pan moy, zechce ſtan iego odmienić. — Któż ieſt twoim oycem? ſpyta *Adbim*. — Daruy, Panie, iż nie poważę ſię wyznać imienia oyca moiego.... Kiedy poſłańcy Pańſcy, chwytali mnie w leſie pod chatą oyca mego, rozſtaiąc ſię ze mną, zaklął mnie pod błogoſławieńſtwem oycowſkim, żebym nie wydała przed nikim imienia iego, i tego świętego, w którym ſtarość ſwoię chroni, przytułku. — Kiedy tak, reecze Sułtan, to nie pragnę wiedzieć o iego ſiedliſku, aż poki nie poſadzę na tronie ślicznéy *Nourenbi*.

Wſzakże, ſkoro korona Perſka, ſkronie twoie uwieńczy, zezwoliſz na to, moia Panno, że podeydziem delikatnie ſtaruſzka, i obiawiſz mu, iż Sułtan ieſt zięciem iego. — Ubroń mię Boże, odezwie ſię *Nourenbi*. żebym miała odſtąpić prawideł wſtrzemięźliwości, danych mi od oyca moiego; nie,

Panie, nie mogę na to zezwolić, żebym łoże Królewſkie i przepych dworu, przekładać miała nad cnoty *Mirglipa*, których on ieſt nam wzorem, a moim w ſzczegulności kochankiem.

Obruſzyło to ſzalenie Sułtana, iż *Mirglip* ſtał ſię znowu chęci iego zawadą i rywalem; daie więc rozkaz Wezyrowi, żeby go ſtracić.

W tym momencie, kiedy Wezyr wychodzi od Sułtana, dopełniać wyrok śmierci na *Mirglipie*, przypadło dwoch *Imanow* do *Adbîma*, obiawiaiąc dokładnie podſtęp *Flarego*, i niewinność *Mirglipa*.

Głos prawdy i niewinności, przytłumia zapalczywość Sułtana, a płacz i ięki piękney *Nourenbi* za *Mirglipem*, rozrzewniaią go tak dalece, iż cofa wyrok śmierci, na *Mirglipa* wydany, zrzeka ſię miłości ſwoiey ku *Nourenbi*, a na związek iey z cnotliwym *Mirglipem* chętnie zezwala. „ *Lemaku*, woła za Wezyrem, nigdym ieſzcze w życiu moim nie widział tak wyſokich aktów cnoty; nigdym w życiu moim nie doświadczył tak ſłodkiey pociechy, iaką w tym momencie odnoſzę. Ach! dałbym chętnie wſzyſtkie ſkarby moie, żebym częściey znaydował takie okazye uſzczęśliwienia ludzi! Ten ie-

den akt wſpaniałości, przenoſzę nad wſzelkie naychwalebnieyſze moie czyny, tryumfy berła moiego, i całą świetność mego Maieſtatu. Nie mogę przewieść na ſobie, żebym co nayprędzey nie oglądał oyca *Nourenbi*. O! iak on ſzczęśliwy być muſi, który umiał tak cnotliwą córkę utworzyć! . . .

Stało ſię. *Adbim* zdaie rząd Państwa na Wezyra, przebiera ſię ſam w podłe ſuknie, i idzie z *Mirglipem* i iego oblubienicą do Derwiſza *Emepſa*, oyca *Nourenbi*.

Stanęli w chatce *Emepſa*, który ich przyiął z wielką uprzeymością; a mądre i cnotliwe ſtarca rozmowy, tak ſię podobały *Adbimowi*, iż o tronie zapomniał.

Kilka tygodni upłynęło bawienia ſię *Adbima* w domu *Emepſa*; gdy iednego dnia donoſi mu młodzian iakiś, czego ſię też ſam powinien był ſpodziewać, iż zdrayca *Lemak*, ogłoſił ſię Sułtanem, a *Adbima* wſzędzie śledzić kazał, dla wydarcia mu życia.

Porzucił co tchu Sułtan ſwych przyiacioł cnotliwych, i udał ſię w gęſtą puſzczę. Nad wieczorem, przyſzedł do doliny głębokiey, z pod którey wytryſkało źrzodło żywey wody, a przy nim była ciemna iaſkinia. W tey iaſkini, mieſzkał *Nadan* Puſtelnik pędzący życie na bogomyślności i cnocie.

—

Przyiął mile ztrudzonego Sułtana, a zasiliwszy go poczostką z ziołek i korzonków, taką mu dał naukę: „*Adbimie*, lituię się nad nieszczęsną twoią niedolą; ale wyznać mi pozwolisz, żeś słusznie na nią zasłużył. Urodzony, dla uszczęśliwienia ludu twoiego; wywróciłeś narowami twoiemi, pasmo twego przeznaczenia. Nadęty czczą pychą i dumą, zatopiłeś się w przepychu i zbytkach. Czyż Monarchy chwała i wielkość, na budowie pałaców i wież zależy? Królewskież to powołanie, z mularzami i snycerzami dni pędzić i nocy? Na toż to, poddane berłu twemu liczysz narody, żebyś ie podatkami wycięczał, a wyżęte krwią i potem obywatelów kruszce po skarbcach, kat wie na co, rozsypywał i trwonił? Bóg cię wyniosł nad innych; Bóg cię namiestnikiem swoim uczynił, nie na to, żebyś był tyranem, ale oycem poddanego ci ludu. Z rządów twoich i namiestnictwa, czeka cię surowy rachunek; iakże go zdasz, kiedy nioczym sam nie wiesz, a rządy Państwa, zausznikom i podchlebcom porucasz? kto ci winien, że cię z tronu *Lemak* zepchnął? że się Panem twoim nayliższy niewolnik uczynił, że wyzuwszy cię ze wszystkiego, żyć ci nawet nie pozwala? A po co go by-

ło do boku ſwego przybierać? po co mu ſię powierzać? po co z ſobą równać? ba i nad ſiebie wynoſić?

Naucz ſię, Sułtanie, znać ſię na ſobie i na ludziach, bądź przykładem i dla innych Monarchow, iaki wybor w ſwych Miniſtrach czynić maią. Było to dobrać ludzi, upoważnionych doświadczeniem i wiekiem, pełnych gruntowne mądrości i cnoty; ich rady zaſięgać, ich przeſtrog ſłuchać, a nie byłbyś nigdy przyſzedł na ten koniec nieſzczęſny.

Wiem ia o tym, iż krewkość w tym twoia i niebaczność, raczey niż złość, zawiniła; a przeto ſpodziewam ſię, iż Bóg, zeſławſzy tę na cię przeſtrogę, ulituie ſię nad tobą, i nie będzie cię gubił do ſzczętu. Radzę ci zatym, uderzywſzy ſię w pierſi, błagać Naywyżſzego o przebaczenie, a ſzczerą przedſięwziąwſzy poprawę, ſpieſzyć co prędzey do Stolicy, i ſtarać ſię tron dziedziczny odzyſkać. ... Byway mi zdrow.„

Przyiąwſzy w pokorze, upomnienie Puſtelnika, Sułtan, puścił ſię *incognito* w drogę nocą do *Ragiai*, ſwey ſtolicy. Czwartego dnia ſtanął rano pod miaſtem. Na przedmieściu, ſpotyka młodą dziewczynę, bardzo mocno do *Nourenbi* podobną; iakoż była

to iey ſioſtra *Glafira*, zoſtaiąca przy ſwey krewney w ſtolicy. Wypytawſzy ſię iey, co za iedna, i obiawiwſzy ſiebie, udał ſię Sułtan do miaſta, *Glafira* poſzła w ſwą ſtronę.

Na pierwſzym weyściu ſwym do Stolicy, napadł na tłum ludu, ſkupionego na głos trąby publiczney. Przybliża ſię przez ciekawość, i pyta: co to otrębuią? — Oto, prawi, odpowie mu ieden z ludu, Sułtan *Lemak*, naznacza tyſiąc cekinow nadgrody temu, ktòryby mu przynioſł głowę *Adbima*.

Poruſzenie i impet iakowyś, który na tę odpowiedź pokazał Sułtan po ſobie, wprawiły w podeyrzenie, ſtoiącego tuż przy nim człowieka, iż muſi być to przyiaciel *Adbima*, i że o nim muſi wiedzieć. Zwabił więc Sułtana ſztucznie do ſiebie, i czym prędzey dał znać do zamku.

Wzięto w areſzt *Adbima*, okuto i wtrącono do więzienia w wieży pod górą *Orez*.

Tu dopiero ſtanęła żywo na umyśle *Adbimowi*, czczość mniemaney wſpaniałości i dumy; tu poznał zmianę i nieſtatek ſzczęścia, nieſzczerość podchlebcow, chytrość zauſzników. O! iak gorzko przychodziło mu, wyſtawiać ſobie *Lemaka* Wezyra, i *Lemaka*

Sułtana! „Niegodziwy zdrayca, myślił sobie o *Lemaku*, umiał mi mowić, iż dźwięk trąb i kotłow, chwałę moię pod niebiosa wynosi, a zapomniał powiedzieć, iż tenże sam dźwięk trąb, będzie wyrok śmierci moiey ogłaszać? ... tobie, Panie, miliony Narodow hołduią... ; tobie ziemia i morze dań niosą... ; dla ciebie słońce wschodzi ... a tego łotr nie przydał: tobie *Lemak* knuie zdradę; ciebie z życia wyzuie; z twoich gmachow przepysznych, któreś pobudował, oprzesz się w wystawionym przy nich w wieży więzieniu, i tam zginiesz!... „

Około północy, słyszy *Adbim* łoskot u drzwi więzienia, postrzega, iż ktoś z cicha wchodzi z małą latarnią; rozumiał, że to będzie iaki oprawca, przychodzący go zamordować; ale to była *Glafira*, która przekupiwszy straże, przyszła ofiarować mu wolność.

Wiele czasu strawili na rozkuciu z kaydan, i wspólnych nad sposobem ucieczki namysłach, gdy tym czasem *Lemak*, opiły z nocnego bankietu, chcąc sam o *Adbimie* czynić z więźnia wywiady, wchodzi do więzienia. Przełożony nad więźniami, prowadził go pod pachy, a andzar obosieczny błyskał z dala w ręku iego.

Poſtrzegłſzy kobietę przy więźniu, wpada w furyą na Przełożonego nad więzieniem, i w pierwſzym zapale, przebiia go andzarem. Pada na ziemię biedny, a padaiąc, *Lemaka* oraz ſobą obala.

Korzyſta *Adbim* z tak ſzczęśliwego trafu, chwyta za andzar, przeſzywa nim *Lemaka*, bierze ſuknie iego na ſiebie, i ſpieſzy do zamku.

Warty, w mniemaniu, iż to *Lemak*, przepuſzczaią go aż do pokoiow Krolewſkich, gdzie Sułtan zwykł był ſypiać.

Skoro dzień, zwoływa przydnieyſzych Emirow, przywiązanych do ſiebie, opowiada im rzecz całą, wywiaduie ſię o herſztach buntu, a kazawſzy iednego po drugim wzywać do zamku, pod imieniem *Lemaka*, bierze w areſzt, i w kaydany kuć każe.

Dopiero obiawia ſię *Adbim* całemu Dworowi, a przez trębacza każe ogłoſić po całym mieście, iż prawy Sułtan Perſki, ieſt znowu na Tronie. Uznaią go poddani za Pana, obeymuie rządy, *Emepſa* z *Mirglipem* i *Nourenbą* ſprowadza do ſiebie, a *Glaſirę*, ſioſtrę *Nourenbi*, bierze za żonę.

BIEG ŻYCIA LUDZKIEGO.

Przeciąg żywota, którym na ziemi
Bieg naſz za zwyczay ztaczamy cały,
Chociaż nabity trafy rożnemi,
Na te znacznieyſze kroi ſię działy:

* * *

W kruchym poieździe, łotnica woźnica,
Czas, z łona matki wziąwſzy dziecinę,
Gdy ledwo *ranna zorza* ſię wznica,
W cwał z nim uieźdża w obcą krainę.

* * *

Na czczo ruſzyli: dziecko śniadania
Gwałtem u ſtarca dopomina ſię;
Więc do wſi *Fraſzek* na wſtęp ſię ſkłania,
Cackami, głupſtwem, przeſądem paſie.

* * *

Daley znow w podróż: a gdy w *południe*
Gorący upał cisło przenika,
Wenus na obiad, zmuſkana cudnie,
Przyimuie w karczmie ſwey wędrownika.

* * *

Rada goſpoſia, ſłodkie poznanie,
Słodkie momenta, ſłodka zabawa;
Ale za katy! ciężkie rozſtanie,
Droga zapłata, gorzka rozprawa!

* * *

Zle ſię rozſtali: żal i teſknota
Okrutnie umyſł i ſerce ściſka;
Wſtąpić *pod wieczor* bierze ochota
Do bliſkiey wioſki, *kunſztow* ſiedliſka.

* * *

Stuk, puk i hałas... ludzi gromady...
Każdy wyrabia roboty ſwoie...
O liſtek lauru, burzliwe zwady,
Zawzięte mordy, okrutne boie...

* * *

„Nic mnie ten widok całe nie bawi,
Owſzem tym więcey umyſł moy drażni...„
— To poieżdżaymy, woźnica prawi,
Do gościnnego domu *Przyiaźni.*

* * *

Drobne uprzeymych przyiacioł grono,
Chce ztrudzonego gościa cząſtować;
Lecz ieździec krzyknie: iuż zaprzężono.
Siaday, poiedziem daley nocować.„

* * *

Zmierzcha ſię coraz: po dziennym biegu
Sen mroczy: będzież ſię ſpało mile!
— Halt! otożeśmy iuż na noclegu:
Kładniy ſię i śpi... — A gdzież? — *w mogile.*

SWINIA PSOTA.

Pewny kiełbaśnik w Paryżu, miał świnię (kto zechce, może dodać z *przeproſzeniem*) dobrze karmną, ale wielką pſotnicę, tak dalece, iż żadnego prawie dnia nie było, żeby mu ſzkody iakiey i figla nie wypłatała; poſtanowił więc ią zabić. Na ten koniec, przywiązał ią za ſzyię postronkiem do kraty, a ſam poſzedł czynić przygotowania do oprawy, i nóż oſtrzyć.

Swinia, czy przeczuła śmierć, czy na uwięzi zprzykrzyła ſobie, urwawſzy powroz, wypadła na ulicę, z tamtąd w ścianki, ze ścianek do kamienicy, i nie oparła ſię aż na trzecim piętrze. Tam gdy zaſtała izbę otwartą, którey odeſzła ſtaruſzka w niey mieſzkaiąca, poſzedłſzy do ſąſiady po ogień; wpadła do niey, a natrafiwſzy za drzwiami kupę śmieci, ryiąc i rozgrzebuiąc ie coraz, zatrzaſnęła drzwi od izby za ſobą.

Nadchodzi ſtaruſzka, znayduie drzwi zamknięte, (klucz leżał w izbie na ſtole) dziwuie ſię, co to takiego, ſłyſzy łoſkot i tupanie, dobiia ſię, ſtuka, woła, żeby iey otworzono. Swinia mamrze po ſwoiemu *roch roch*, a ta rozumie, że iey kto odpowiada: *non non* — nie nie.

Zdięta ſtrachem, w myśli, iż ſię zakradli złodzieie, bieży do Policyi po Inſtygatora i wartę.

Przychodzi Inſtygator z żołnierzami, czyni podſłuch, znayduie w ſamey rzeczy kogoś plądruiącego po izbie; kołace, donoſi: iż przyſłany od Zwierzchności, przyſzedł z wartą; radzi dobrowolnie poddać ſię, wſzyſtkim, wiele ich ieſt, hultaiom; inaczey, odgraża ſurowemi karami, i że drzwi gwałtem każe wyſadzić. Swinia na to wſzyſtko mamrze ſobie *roch roch*, a temu ſię wydaie odpowiedź: *non non* — nie będzie z tego nic.

Rozgniewany tak ſzaloną zuchwałością Inſtygator „Hola! wiara! krzyknie na milicyą, wyſadźcie mi zaraz te drzwi.

Sprawne do takich rzeczy *brachium militare* wypiera drzwi z niezmiernym ſzturmem. Przerażona świnia łoſkotem, wyſuwa ſię gwałtownie po między nogi Inſtygatorowi

gatorowi, obala go, i ztrąca na łeb razem z sobą ze schodow. Co więcey, zadzierzga czarną opończę iego na siebie, i z wielkim pędem w cwał w niey przez miasto, kwicząc ucieka.

Dziwo niesłychane! świnia biegaiąca po mieście w opończy Instygatorskiey, zastanawia cały Paryż! żołnierze i mieszkańcy kamienicy, nie poymuią co się stało. Staruszka omdlała, uznaie ziawienie iakiegoś potępieńca w swey izbie, i więcey w niey mieszkać nie chce. Instygator potłuczony rozumie, że reyment diabłow wysypał się nań, i ztrącił go z góry. A rzeźnik lata wszędzie, szukaiąc, gdzie mu się świnia podziała.

MROWKI.

Matko, co chcecie za te poziomki? — Złoty, Mościpanie. — Hola! tak drogo! naywięcey srebrny grosz, i to iuż z garkiem. — A czy podobna, Mościpanie; trzeba to z kilka mil wychodzić, nachylać się, napalić na słońcu, napocić, nim człek

garnuſzczynę uzbiera!... No! iuż day Jegomość złoty bez trzech groſzy, i garnek nazad. — Nie dam; bierz tak, iak mowiłem, ſrebrny groſz, i to nadto. — Nie może być, Mościpanie. — To idź z Bogiem. Szalony byłbym, żebym zaś miał tak drogo poziomki przepłacać!„

Któż ſię to tak ściśle targuie? komu ſię to dwudzieſtu ſiedmiu groſzy ſumma, ſumma przeznaczona na kupienie bryłki ſoli, lub kawałka okraſy do nikczemney leguminy, ſzalonym do zapłacenia kapitałem wydaie? — Oto ten Jegomość, czy Jeymość, którym pełnym korytem złoty *Tag* płynie; ten, który na zbytki i ruinę ſwoią, tyſiące traci; który rozwaliwſzy ſię wygodnie w ſklepie za ſtołem, ſtami ździera zyſki z ludzi; który kroku nie ſtąpi, gęby nie otworzy, pióra w rękę nie weźmie, aż póki mu dukatami ſtołu nie zaſypieſz... Otoż to ten Jegomość, zbierane w pocie czoła przez cały dzień poziomki, ceni groſzy ſiedm i pół, i to ieſzcze wraz z garkiem. Trzebaby go iakim ſpoſobem tak nauczyć rozumu, iak iednego Literata nauczyła proſta baba w Paryżu.

Zatopiony on w hiſtoryi naturalney, potrzebował, niewiadomo na iakie obſerwacye

czy doświadczenia, żywych mrowek. Zamówił więc kobietę wieyſką, ażeby co naywięcey ich uzbierawſzy, przyniosła mu, obiecuiąc ſowitą zapłatę. Stało ſię. Z wielką pracą i przykrością zebrany duży garnek mrowek, przyſtawia baba Literatowi do ſtancyi. Kontent niezmiernie, pyta ſię iey, co chce za nie? Baba Luidora domaga ſię. Literat, zadziwiony tak wyſoką ceną, ieden liwr iey podaie. Baba nie chce ſzeląga od luidora odſtąpić; Literat oſtatnim słowem, nad półtora liwra nie daie. Nuż w targ, z targu w zwadę; przyſzło do tego, iż Literat odrzeka ſię mrowek, i babę za drzwi wypycha. Rozgniewana baba, widząc daremnie łożone prace ſwoie, rzuca z całey siły garnek z mrówkami o próg izby Literata, a ſama co tchu ucieka.

Z rozbitego garka, wyſypuią ſię roie iadowitych i wygłodniałych mrowek, rozchodzą ſię po izbie Literata, ſieni, i mieſzkaniach komorków domu tego. Niepodobna! iaki zgiełk i armider w całey kamienicy powſtaie, nim ſię dowiedzieli, zkąd mrowki wzięły ſię. Jaki taki rozumiał, że, iak na Faraonów, cudownie ſpadło na nich robactwo. Obſkoczyły zewſząd mrowki Francuzow, po ziemi, po ścianach, po łóżkach,

po pułapach, po ſukniach, po głowie, po nogach, po fryzurze, wſzędy ich pełno. Biią, depcą, parzą ukropem, na reſzcie bulonami i ſoſsami leią; nic to nie nada; ani ſpoſobu im ſię opędzić; kobiety oſobliwie kontredanſa tańcuią.

Idzie Goſpodarz do Literata, zagraża mu pozwem i grzywnami, ieżeli co nayprędzey wſzyſtkich mrowek nie wytraci. Tu dopiero Pan Literat, kiedy mu przyſzło za mrówkami dniem i nocą nagonić ſię, napocić ſię, i tyle razy iadowicie od nich pokąſanym zoſtać, poznaie po czaſie, iż arcy ſprawiedliwie dopominała ſię u niego Luidora owa baba, która nie pobitych, ale żywych mrówek, uzbierała mu wielki garnek.

Otóż Lekcya? a pomożeż ona co? boday tak! Pan Literat drugą razą, od pierwſzego ſłowa bez targu mrówki zapłaci; ale co poziomki, to za bezcen kupić zechce. Chyba żeby powiedziała baba, że ieſt czarownicą, i że potrafi iagody w mrowki zamienić. Co wtedy, tobyśmy i my, nie bardzo targowali ſię o poziomki.

BECZKA z WODĄ.

Pewny mąż, wielki proſtak, przyſzedłſzy do domu, zaſtał z niemałym podziwieniem drzwi zamknięte od izby. Kiedy ſpoyrzy przez ſzparę, widzi żonę ſwoię z gościem, nie koniecznie na modlitwie.

Nie przeſzkadza zabawie, odchodzi nic nie rzekłſzy, ale gotuie ſię ſuty bankiet ſprawić w wieczor Jeymości, i na lepſzą fantazyą piie aż do zmroku.

Dobrze w noc, przychodzi do domu, przymawia zdala żonie; daie pochop do kłotni, co żona poſtrzegłſzy, pyta pilnie o przyczynie złego humoru.

Tu dopiero wybucha z gniewem mąż, i hałaſem dom cały napełnia. Nie zraża ſię tym bynaymniey mężnego ſerca żona, a ſuknąwſzy nań żwawą miną; „a tobie znowu, rzecze, coś przyſzło do głowy; zawſze ci ſię muſi coś przywidzieć; do śmierci, widzę, gdyrać nie przeſtanieſz. . . . Ktoby tu miał być ze mną? , . . ia? ia? . . . iabym ſię

miała z kim zamykać? — Jakże? nie był tu *Maciey?* zapyta mąż. — Chyba zły duch w iego postaci, odpowiada żona, i to w twoich oczach; bo ia przez całe odpołudnie, żywey duszy na moie oczy nie widziałam! — Ale ia go przecie widziałem przez tę oto szparę w drzwiach. — O! dudku, dudku! i tobież zapomnieć, że w izbie w kącie stoi beczka z wodą? — No, i cóż to ma beczka z wodą do *Macieia?* — To ma; pódź tylko, a obacz.

Prowadzi męża do beczki, obraca się twarzą ku niemu, przytula się bliżey: „ spoyrzyż teraz, rzecze, w beczkę, a obacz, co się w niey dzieie? — A to my oboie stoiemy przy sobie. — No to widzisz, gapiu, że to i w ten czas, taż sama beczka odbiiała na izbę nasze obrazy, a tobie się kat wie nie co wydawało? — Prawda, moia kochana, zapomniałem wiecznie o beczce, a przysiągłbym, że tu był *Maciey* z tobą. — To widzisz, naucz się na drugi raz rozumu, a poczciwey żony nie posądzay, i byle o co hałasu nie rob. „

Uwierzył prostak obrotney kobiecie, i poprzysiągł, iż nigdy odtąd oczom swoim wierzyć nie będzie. Starey to daty Anekdota, która tak ogromnego, iak iest beczka,

potrzebowała narzędzia do oſzukania męża. W oświeconym wieku naſzym, ſubtelniey-ſze maią żony ſpoſoby, do ſtrzyżenia mężów w dudki; ba i nie trzeba ich ſtrzydz, ſami ſię ſtrzygą.

TŁUMACZ PRAWA.

Dzieie Arabſkie, wyſtawuią Kalifa *Harount Raſchilda*, iako Monarchę, bardzo gorliwego w zachowaniu przykazań Alkoranu. W bardzo wielu okolicznościach dał on dowody delikatności ſwego ſumnienia; ale przytym, wielce zażywał rezolucyi kaziſtow muzułmańſkich, kiedy ſzło o pogodzenie Alkoranu z właſną ſkłonnością.

Razu iednego, upodobał ſobie niewolnicę *Ibrahima*, brata ſwego, i ofiarował mu za nię 30,000. dinarow. *Ibrahim*, który na *Machometa* był wprzód poprzyſiągł, nieprzedawać iey nikomu, ani darować, wymawiał ſię Kalifie, i uczynił mu ſzkrupuł.

Kalif, nie ſpuſzczał nic z ſwoiey pretenſyi do niewolnicy; ale z drugiey ſtrony, przyſięgi *Ibrahima* naruſzyć nie chciał. Co tu robić? nie maſz innego ſpoſobu, iak udać ſię do Kadiſow.

Kadi *Aboui Jozef*, co zęby ziadł nad Alkoranem, i prawo *Mahometa* umiał na palcach, pogodził te rzeczy, decyduiąc, iż *Ibrahim*, bez naruſzenia ſumnienia może niewolnicę, przez połowę przedać, a przez połowę darować. Ofiarowana była ſumma *Ibrahimowi* 30,000. dinarow, więc nie wziął tylko 15,000. a drugie 15,000. oddał Kalif Kademu za rezolucyą.

Cóż ſię dzieie? nowa trudność wſzczyna ſię. Alkoran zabrania wchodzić w związek z nałożnicą brata, aż chyba z trzeciey ręki, Ucieka Kalif do Kadego z ſzkrupułem; ten, nie wiele pomyśliwſzy, ułatwia trudność, radząc Kalifie, żeby niewolnicę żądaną, ktoremu z niewolników ſwoich zaślubił, a ten wraz po ślubie, z nią ſię rozwiodł.

Przedziwna rezolucya! Wydaie co tchu Kalif faworytę za niewolnika, wyprawia mu ślub, po ślubie wiedzie proſto do rozwodu... — Halt! nie będzie z tego nic; Pan młody, nie pozwala na rozwod. — Kalif o-

fiaruie mu odstępnego 10,000. dinarow; on nie przyimuie, i żeby mu miliony dawał, oświadcza się żony nie puścić.

Biegay co tchu po Kadego... „Zmiłuy się, bracie, ratuy, oto niegodziwy niewolnik, nie chce z oblubienicą swoią rozwieść się!„ — Nie chce? uśmiecha się Kadi; to go poprosim„ ... Duma.... przeciera czzło... aż mu się poci łysina... „Prawda! ... ziadł sto katow, setnie nam źle stanął na przeprawie!... diabla robota!... ale nic to... w księdze trzeciey Alkoranu... (mruczy sobie pod nosem zwyczaiem ludzi biegłych w prawie)... nie... w czwartey... tak w czwartey... w rozdziale, *ni fallor*, piętnastym... czy piętnastym?... nie... czternastym... w artykule... nie... w paragrafie szóstym... tak tak... mowi Prorok wyraźnie... — „Wiesz co, Kalifo, oto *uczyń donacyą* faworycie swoiey tego niewolnika, który wziął z nią ślub dopiero, a tak, *ipso facto*, *nullitatis* będzie *matrimonium*, bez procesu. Stoi bowiem w Alkoranie, w księdze czwartey, rozdziale czternastym, paragrafie szostym: iż kobieta nie może mieć za męża, niewolnika swoiego.„

Kontent niewymownie Kalif, z tey Kadego rezolucyi; zapisuie *cum omni solennitate*

de jure darowiznę niewolnika, żonie iego, a Kademu 10,000. dinarow, nagotowane niewolnikowi za zezwolenie na rozwod, liczyć każe.

Nie dość na tym; doſtawſzy Kalif faworyty za żonę, daie iey w podarunku 100,000. dinarow. Ta, znaiąc, komu winna ſzczęście ſwoie, poſyła z nich 10,000. Kademu. Y tak w iednym dniu, ſprawny Kady, 35,000. dinarów zarabia.

Boday to być Kadim! a Kadim w ſprawach małżeńſkich, rozwodowych &c. a ile ieſzcze u iakich bogatych i wſpaniałych Kalifow!

SZCZEROSC PRZYIACIELA

Czyli

NIEROZEZNANE DOSWIADCZENIE PRAWDY.

Pietrze, ſzalenie cię ſzpeci ten nos, iak kulbaka... Pawle, albo zapuść do ſtukatow, iak należy, wąſy, albo ie każ zgo-

lić do szczętu; bo tak, iak ie nosisz, wydaie się, iakbyś w ustach trzymał ślimaka, a on łepek wyścibiwszy z skorupki, strzyże coraz w tę i owę stronę rożkami... — Mościpanie Stolniku, Podstarości Wmć Pana, nabył temi czasy od naszego organisty kapotkę... ten Dwor, któryś z takim kosztem postawił, iest cale bez symetryi... i te suknie, tak bogate, nie są modne, ani gustowne.... Panna *Balbina*, ohoho! coraz iakoś fartycznieysza!.... — Tereso! day pokoy tym fryzurom, kwiatom, piórom, farbom, wodkom, oleykom; mamże ci rzec po szczeremu? oto ia, bywszy tobą, chodziłbym zawsze zapuszczony kwefem; bo bym się obawiał, żeby który malarz, nie wziął ze mnie wzoru na obraz *Meduzy*... Y ty, *Damonie*, bez potrzeby zaprzątnąłeś sobie głowę, wystrychnąć się na *Adonisa*; bodaiem się zachłysnął, ieżeli wszystkie Nimfy nie maią cię za *Fauna*.... „

Czy dobra iest taka szczerość? i czy z prawidłami roztropności zgadza się, co tylko kto dostrzeże, co tylko posłyszy, o czym tylko dowie się, aż do baśni babskich i plotek dziecinnych, żywcem przyiacielowi wypowiadać? naymnieysze wady i niedoskonałości iego, nawet niepodobne do prawdy,

mu wytykać? uprzedzenia iego i omamienia, nieszkodliwe bynaymniey, owszem ieszcze ukontentowanie, i iakoweś niby szczęście iego czyniące, wyiawiać i zbiiać? Niech to mędrsze głowy osądzą.

Mnie się wydaie, iż każdy rozumem rządzący się człowiek, więcey prawdę, niż obłudę kochać; więcey rzetelność, niż podchlebstwo cenić; więcey szczerość, niż układne muskanie i potakiwanie poważać powinien. Bo cóż mi to za przyiaciel? ia piię truciznę, i w słodyczy iey sobie smakuię; a on, coby mi ią miał wydrzeć, to ieszcze dodaie, iż to iest ten sam nektar, który *Ganimedes*, Podczaszy Niebieski, *Jowiszowi* zwykł podawać?... Wielką mi szalenie łaskę ten wyświadcza, który, gdy się ia bawię po ulicach, gdy z wytwornego stroiu na cztery tuzy sadzę się, a gałgana przyczepionego do sukni z tyłu nie widzę, on, żeby mnie nie zawstydzić, nie ostrzega, aż chyba trefniś iaki z szyderstwem mi go ukaże! Albo i ten Doktor, bardzo mi wielką z delikatności swoiey czyni przysługę, co niebespieczeństwo ukrywaiąc, nadzieią zdrowia łudząc, wtedy dopiero napomknąć mi o śmierci zabiera się, kiedy ciało bez zmysłow, dom w nierządzie, interesa w zamęcie, duszę w ręku śmierci obaczy!

„Ale bo prawda, ieſt przycierpka. — To ią roſtropnością osłodzić!... Ale bo tak delikatne ſą niektóre umyſły, iż zdala nawet, ſamego iey zapachu znieść nie mogą. — To ią przemyślnym wywarem, iak cybulę w potrawie, utaić... Ale bo prawda, nie iednego guza nabawi. — A fałſz, obłuda, podchlebſtwo, czy na ſucho uchodzi?... Ale bo to trzeba wiedzieć, iak? i kiedy z prawdą ſtanąć. — Na to rozum. — Ale bo ten, któremu ſię prawda obiawia, źle i nieprzyzwoicie użyć iey może. — A powietrzem, nie truią ſię ludzie? w wodzie nie toną? ogniem nie palą ſię? i dla tego powietrzem nie żyć, wody nie pić, ogniem ſię nie ogrzewać? Ale bo nie każdy wart ieſt prawdy; nie ieden tak trzyma o ſobie, iż przed ſamym iey wielkim ołtarzem ſtoi; a to wielka bayka, bo on nie wſzedł ani nawet do kruchty! — ha? co na to, to prawdziwie nie wiem co powiedzieć... Koniec końcem, przyſtąpmy do rzeczy: ia *factum* wyſtawię, a każdy, podług zdania ſwego, niechay co chce o nim myśli i ſądzi.

Syrwey z *Dorywalem* żyli w ściſłey przyiaźni. Jednego wieczora filozofuiąc z ſobą nad znikomością i zmiennością rzeczy fizycznych, przyſtąpili i do rzeczy moral-

nych. „ Bądź pewien, *Dorywalu*, rzecze *Syrwey*, iż naymocnieyſze związki, czy to przyiaźni, czy miłości, z śmiercią pękaią. Ledwoby nie można powiedzieć, iż ſerce żywych, koleie z ciałem umarłych; gorącość zapałow, z kagańcami żałobnemi płonie; pamięć, z dźwiękiem dzwonow uſtaie; iednym ſłowem: *co z oczu, to i z myśli*...

Jakże? odzywa ſię *Dorywal*, to i moia żona, ta żona, która mi dała prym, z pomiędzy tylu ubiegaiących ſię do ſwey ręki rywalow, która tak znaczny maiątku ſwego uſzczerbek dla mnie poniosła, która paſsyami mnie kocha, i za mną przepada; ta żona, po moiey śmierci, miałaby mnie nie kochać? miałaby mnie rzewnemi łzami nie opłakiwać? miałaby mnie zapomnieć? Albo i dziatki, tak kochane i pieſzczone odemnie, miałyżby odmienić ſię w czułości, ku zmarłemu oycu ſwemu, którą tak ſerdecznie oświadczaią żywemu?

Tak, nieinaczey, przyiacielu; odmieni ſię to wſzyſtko po śmierci twoiey, czego Boże uchoway! i żona, i dzieci, i krewni, i przyiaciele, zapomną o tobie, i na portret twoy nawet, z czaſem ani ſpoyrzą.... Jeſt to, przyznam ſię, okropne wyobrażenie, i okrutny ſztych dla ſerca czułego; ale iednak

niezawodnie prawdziwy. Nie ty to pierwszy byłbyś, z ludzi, tey prawdy dowodem, ani ostatni; na wszystkich ona codziennie iści się; chcesz? krocset przykładow wraz ci przywiodę. . . .

Ale czy może to być, żeby żona, żeby dzieci, mieli kiedy ku mnie ostygnąć, i mnie zapomnieć? — Jużci ze wszystkim ciebie nie zapomną. Nie podobna bowiem, żeby z interesow, z papierow, z kontraktow, i z zapisow, ieźli iakie poczynisz, nie wpadła im konieczna wzmianka o tobie; ale to będzie nawiasem, będzie zimno; z takim będzie wrażeniem, iakie bywa, kiedy wspominamy innych, postronnych nam cale ludzi. Naprzykład *Annibala*, *Cezara*, *Pompejusza*, i innych. —

Y moy kochany, tobie widzę, chce się żartować. — Nie, nie żartuię; szczerze mówię, i toż samo powtarzam: wszystkie związki nasze tu na ziemi, z śmiercią pękaią; smutna to iest prawda, ale oraz nieomylna. Zycie nasze doczesne, iest wędrowka, świat ten, iest dom gościnny, w którym na czas krótki bawiemy. Nie przystoi się do tego przywięzywać na wieki, co lada moment trzeba porzucać. Coby to było, żeby ci wszyscy wędrownicy, ktorzy na iednychże

z ſobą znayduią ſię na popaſach, po rozieździe, mieli w uſtawicznych łzach po ſobie zoſtawać, za ſobą wzdychać, o ſobie pamiętać? Taką rzeczą, ziemia naſza, nieſkończenie cięższym, niż ieſt teraz, padołem płaczu byłaby... Tak, kochany *Dorywalu*, tak, niechay, kto chce, daie ſię omamieniu uludzać, ty po filozowſku myślić powinieneś. Kochay żonę twoię i dzieci, iak dotąd kochałeś; uznaway ie, za warte zawſze przywiązania twego i miłości; ale bądź przeświadczony, iż ieżli ſię Bogu ſpodoba zebrać cię wprzód z tego świata, nie długo cię pożałuią, wkrótce inne obiekta, ich umyſły i ſerca poſiędą. Od początku to ieſzcze świata, życie naſze przyrównane ieſt do morza; ieden bałwan, naſtępuie po drugim; ieden drugiego zbiia i roztrąca: puſzczaymy ſię za pędem wody, a nie oglądaymy ſię wſtecz daremnie. Ty ſam, długoś płakał twoich rodzicow? długoś żałował twoich przyiaciół?... „

Te uwagi filozoficzne, obeſzły ſtraſznie *Dorywala*, i głęboko mu w duſzy utkwiły. Kiedykolwiek ſpoyrzał na żonę i dzieci, kiedy czułości od nich odbierał, żal niewymowny przenikał ſerce iego, zakręcały mu ſię łzy w oczach, i pomimo gwałtu, który ſobie

bie

bie zadawał, ſtrumieniem płynęły. „ Y kochacież mnie? zapytywał ich coraz rozrzewnionym głoſem . . . kochacież mnie? . . . mamli temu wierzyć, że mnie ſzczyrze i ſtatecznie zawſze kochać będziecie? . . . a to rzekłſzy, w grubą melancholią i zamyſły zapadał.

Wiele razy zſzedł ſię z *Syrweiem*, tyle razy zwracał mowę do tey materyi, powtarzaiąc uſtawicznie te ſłowa: „ Ha! to tylko póty trwa w ludziach czułość i pamięć; póki duch w ciele, póki człowiek z oczu nie znidzie! . . . „ *Syrwey* poſtrzegł, ſkołatany mimo myśli ſwoiey, umyſł *Dorywala*, i ſtarał ſię, ile możności, go uſpokoić; ale darmo, rana zaſzła głęboko.

Tym czaſem wypada mu interes, który go na nieiaki czas z domu wyruſza; przedſiębierze podróż, naznacza dzień do wyiazdu; a im bliżey ten ſię przymyka, tym ſię bardziey melancholia iego i ſmutek pomnaża. Nakoniec nadſzedł i ów moment; w którym z żoną i z dziećmi rozſtać mu ſię potrzeba. Nigdy bardziey rozrzewnione ſerce iego nie było, nigdy więcey tkliwości ſwoiey nie okazał. Sciſkał nieuſtannie żonę, całował i przytulał ſerdecznie dzieci, a coraz odzywał ſię do nich: „ iak-

że? mamże być pewnym o waſzym przywiązaniu ku mnie? przyrzekacież mi, iż mnie ſtatecznie zawſze kochać będziecie? a to mówiąc, w głębokie ſzlochy i ryk prawie wybuchał, i rzewnemi łzami ſię zalewał. — Moie ſerce, odpowiadała żona; Oycze kochany, odzywały ſię dzieci, i ſłuſznaſz to rzecz, żebyś o tym powątpiwał? godziż ſię nas o to pytać? Czy tyż to maſz lękać ſię, żebyś nie był tak kochanym, iak warteś? kiedyż to było, nayukochańſzy mężu, żebyś nie zoſtawał iedynym wſzyſtkich chęci i zapałów mych celem? ... któregoż oyca, mogły kiedy bardziey kochać dzieci, iak my ciebie, naymilſzy oycze, kochamy? — A ieżeli iuż was więcey nie obaczę? ... jeżeli mnie śmierć zbierze z tego świata? .. — Ah! dla Boga! niewſzczynayże takich pytań, któremi nas na wylot przeſzywaſz! zkąd ci te myśli okropne? na co ie do głowy przypuſzczaſz? trzydzieści mil, albož to daleka Ukraina? za kilka dni ſtanieſz na mieyſcu, interes ſprawiſz, i co nayprędzey zdrowo i ſzczęśliwie do domu nazad powróciſz....

Po długich i wzaiemnych płaczach i żegnaniach, wſkoczył *Dorywal* do poiazdu, a żegnaiąc ſię takož z przyiacielem ſwoim *Syr-*

wciem, ſzepnął mu do ucha: „ A co *Syrweiu*? iakże? nie kochaż to mnie żona i dzieci? — Ah! *Dorywalu*! ten mu odpowiada, iakżeś ty nieſprawiedliwy! i iak opacznie rzeczy tłumaczyſz! Powiedziałem ci, móy przyiacielu, iż nayżywſze zapały, i naymocniey. ſze związki, maią ſwòy koniec: iż wſzyſtkie rzeczy, tak fizyczne iako moralne, podpadaią odmianie, zepſuciu i zniſzczeniu, a ty het gdzie indziey ſkoczyłeś, co innego ſobie wnióſłeś! iak możeſz, tak źle tłumaczyć te uwagi, które z dobrego ſerca, przez poufałość przyiacielſką, i iako człowiekowi rozumnemu tobie podałem. Byway mi zdrów, poſpieſzay do nas ſzczęśliwie, a lada czym głowy ſobie nie zaprzątay. „

Odiachał *Dorywal*; a *Syrwey* zaſzedł do żony iego i dzieci, cieſzyć ich, i razem pomagać im ſmutku z odiazdu ſwego przyiaciela. Dom cały, pełen był ſzlochów i płaczu. „ Zkąd mu ſię wzięły, rzecze żona *Dorywala*, te troſki i śmierci przeczucia? te wątpliwości i pytania? ten żal i ſmutek nadzwyczayny? Alboż kiedy co takiego, czy po mnie, czy po dzieciach pobaczył, coby mu do naymnieyſzego podeyrzenia dać mogło okazyą?... Niewiem, Moſpanie *Syrweiu*, czy dawałeś baczność na to,

iż od mieſiąca i więcey, nie poymuię; co mu ſię ſtało; taiemny iakiś ſmutek ukazywał po ſobie, w częſte wpadał zamyſły, dziko nie raz po nas poglądał, i łzy ronił. Coby to było takiego? czy mu ſię co przywidziało? czy wątpił o naſzey ſtateczney ku ſobie miłości? . . . — Ah! gdzie też teraz naſz kochany Tatuleńko ſię obraca? . . . . Boże go prowadź ſzczęśliwie! . . . o! gdyby iak nayprędzey do nas powrócił! . . . . nic nam nie miło bez niego . . . „ powtarzały dzieci, poglądaiąc uſtawnie z matką na portret oyca, i łzami go oblewaiąc.

Surwey wiedział dobrze o przyczynie tego wſzyſtkiego; ale ią trzymał w ſekrecie, pochwalaiąc w ſercu tym czaſem ſwóy poſtępek, iż uwagami ſwemi, chciał umiarkować zbytnią czułość przyiaciela, która go gryzoty iakiey mogła kiedykolwiek nabawić.

Kilka tygodni upłynęło po odieździe *Dorywala*; zbliżał ſię moment iego powrotu, w liſtach ſwoich donoſił im o ſwym przybyciu; o niezmierney ku nim miłości, o tęſknocie do ich powidania, i o nowych przywiązania ſwego, za przyiazdem, dowodach zapewniał.

Owóż i dzień, którego swóy przyiazd naznaczył. Matka i dzieci wybieraią się na spotkanie oyca, pałaią chęcią uściskania go co nayprędzey, wyglądaią po trakcie, czy go nie widać? czy nie iedzie? .... *Syrwey* przyłączył się do ich kompanii, czekaiąc równie na powrot przyiaciela.

Nad wieczorem, pędzi na koniu posłaniec i do rąk Pani *Dorywał* oddaie list od męża w tych słowach:

„ Nie płonne było moie przeczucie, kie-
„ dym z domu wyieżdzał. Zegnałem się z
„ wami, iak gdybym was więcey nie miał
„ oglądać. Iści się to rzeczywiście. Tego
„ samego dnia, ktoregom w ostatnim liście,
„ czas powrotu mego zamierzył, gwałto-
„ wną chorobą uderzony zostałem. Mimo
„ usilnych staran Doktorów, codzień to
„ bardziey wzmagała się choroba, i dziś
„ nakoniec żadney nadziei nie zostawuie
„ mi życia. Odstąpili mnie Doktorowie,
„ czuię bliską śmierć, i ledwo tyle mam
„ iuż siły, iż te kilka liter mogę do was
„ napisać.

„ Zono kochana! dzieci naymilsze! czy-
„ żem ia się mógł kiedy tak okropnego lo-
„ su spodziewać, któryby mi nawet umie-
„ rać na łonie waszym nie pozwolił! Ze-

„ gnam was po ostatni raz: a ieżeli czułość,
„ iest wyięta z pod mocy śmierci, bądźcie
„ pewni, iż stateczną miłość ku wam moię
„ do grobu z sobą zaniosę, i wiecznie iey
„ dochowywać będę. A wy też na wza-
„ iem, czy będziecie nieszczęśliwego ró-
„ wnie kochać? czy będziecie na umarłego
„ pamiętać? . . . „

Piorun, nie list, uderzył wszystkich serca i umysły. Omdlała Pani *Dorywal*, dzieci w ryk, wszyscy zwarzeni osłupieli od żalu. *Syrweiowi* stawa na myśli: dla Boga! czy nie moie to uwagi, były mu przyczyną do śmierci? . . . człowieka nadto tkliwego, chciałem przerobić na *Stoika?* . . . Tak zapewne; owa niespokoyność, melancholia, i gryzota wpędziła go w chorobę! . . . Nieszczęśliwa godzina! . . . Czy mnie diabli podkusili do tych przeklętych morałów! . . .

Nakoniec radzi nie radzi powracaią z żalem do domu. Tam przybywszy, nowe szlochy i ryki. Zona, dzieci, *Syrwey*, krewni, znaiomi, toną we łzach, i zda się iż się nigdy nie utulą.

Dzień za dniem upływa, godzina każda cząstkę żalu z sobą unosi, przebiera się płaczu, *nic tak skoro, iak łza nie schnie.* Ze dni zrobiły się tygodnie, z tygodni zebra-

ły się miesiące, z miesięcy lata urosły: znaczny to iest czasu przeciąg, to też i znaczna musi być rzeczy odmiana. Tak iest! Wesołość i swoboda w domu panuie, nie widać w nim ani śladu *Dorywala*; portret iego, który niegdyś wisiał nad łóżkiem, zarzucono za piec w garderobie; dom nawet Państwa *de Melleville*, nosi nazwisko. Kochaiąca Jeymość poszła za mąż, synowie pożenili się, córki układaią z kawalerami zamęście, *Syrwey* z nowemi przyiaciołami wesoło bawi się; *Dorywal*, co to było za stworzenie, czy źwierz? czy człowiek dopytać się ciężko.

Jednego dnia Pani *de Melleville* (to było nazwisko żony *Dorywala*) zaprasza *Syrweia*, żeby ią raczył odwiedzić. Stawi się *Syrwey*. Po wzaiemnym powitaniu. „ Niewiesz WPan co, rzecze Pani *de Melleville*, dzika iakaś awantura nas spotyka. Odebrałam temi dniami przez umyślnego bilet, nie wiadomo od kogo, bo się nawet nie podpisał, i charakter iest mi wcale nieznaiomy, w którym zaproszona iestem sama bez męża, wraz z moiemi dziećmi i z WPanem, ażebym dnia... o cztery mile z tąd stawiła się w wiosce..., a to koniecznie, gdyż maią być nam powierzone iakoweś wielkiey

wagi ſekreta, nas ſię tyczące. . Wſzyſcy ſtawić ſię mamy; bo gdyby któregokolwiek, czy mnie, czy WPana, czy dzieci naſzych brakowało, daremna będzie naſza wyprawa. Zapraſzaiąca oſoba, wſzyſtkich nas chce koniecznie oglądać. . . Maſz oto bilet, przeczytay.

Syrwey zadumiony pyta: Cóżby to była za oſoba? . . . iakieby ſekreta nam miała obiawić? za co koniecznie nas wſzyſtkich żąda? . . . dalipan! niepoymuię ia tego! . . . ha! mnieyſza o to . . . cóż to nas będzie koſztowało . . nie mamy ſię czego lękać . . . iedźmy. . ieſt to iakiś romanſowy kawałek, ciekawi będziemy widzieć, iak ſię wywinie.

Zabieraią ſię wſzyſcy dnia naznaczonego, zieżdżaią do wſi wymienioney; umyślny poſłaniec, który przywiózł był bilet, czeka na gościńcu przede wſią, i ofiaruie im ſię za przewodnika, tam, gdzie na ich przybycie czekaią.

Spieſzą co żywo, pełni różnych myśli i ciekawości. *Syrwey* im ſerca dodaie, „ ſzyię moię dam, rzecze, ieżeli to nie będzie iaki figielek, ſporządzony od którego trzpiota, dla uciechy naſzey i rozrywki . . . . ale poczekay, oddamy figiel za figiel. . . . „

„ Za mną Moście Państwo przez to podwórko, rzecze przewodnik, . . . przeydźmy przez tę obórkę . . otuż tu proszę do tey chatki . . . otwiera drzwi sionki i izby, a sam wstecz cofa się, zatrzymuiąc służących, żeby w sieni zostali.

Ciemna i nędzna izbina . . . . pozabiiane okna . . . ledwo gdzie niegdzie przez rozpadliny w ścianie, promyk światła wciska się . . . „ proszę bliżey, odzywa się chrapliwy głos z kąta, zchorzałego na łożku człowieka; przystąpcie do mnie, przypatrzcie się dziełu waszemu . . . „

Dźwiek głosu, nagle wszystkich przeraża; zda się być im znaiomy . . . pomykaią się drżącym krokiem . . . spoyrzą . . . *Dorywal! Dorywal!* krzykną wszyscy razem, przestraszeni niezmiernie. — Tak iest! *Dorywal* iestem! . . . ten sam *Dorywal*, mąż twóy, żono! ten sam *Dorywal*, ociec wasz, dzieci! ten sam *Dorywal*, twóy przyiaciel, *Syrweiu!* . . . Słusznieś powiedział, niebaczny przyiacielu, iż czułość ludzka bardzo szczupłe ma kresy . . . na was wszystkich doświadczam nieszczęśliwy tey prawdy . . . „ Tu dopiero mowę do każdego z osobna obraca, i całą

awanturę przed niemi odkrywa: iako śmierć ſwoię zmyślił: iako potym utaiwſzy ſię w pobliżu domu, gdzie mieſzkała żona z dziećmi, naymnieyſze ich poſtępki ſzpiegował: iako nakoniec przeświadczywſzy ſię o nieſtateczności ich ſerc, obrzydził ſobie świat i zycie, a ztrawiony ſmutkiem i rozpaczą, uſunął ſię do tey wioſki, wpadł w chorobę, i bliſki zgon czując, odważył ſię wezwać ich po oſtatni raz do ſiebie, i o tym ich uwiadomić, czemuby po śmierci iego nigdy wiary nie dali. „Umieram więc, zakończył temi ſłowy, umieram wolen od tego wſzyſtkiego, coby mogło przywięzywać mnie do życia. Znam *Syrweiu*, iaka to miłość na tym świecie, iaka czułość, iaka przyiaźń, iaka pamięć; iak mocne związki mniemaney waſzey ſpołeczności iak gruntowne oświadczenia, iak trwałe zapały, iak ſtateczne obietnice. Niemaſz tu czemu wierzyć, nie ma czemu ufać, nie ma na co ſię ſpuſzczać: ſama próżność, zmienność, i nieſtatek.... Bóg ieſt ieden tylko prawdziwy, na którego ſię beſpiecznie zdać można; Bóg ieden niezmienny, na którym ſię nigdy zawieść nie można... Temu was Bogu polecam, a ſam odtąd, ani z wami, ani z żadnym z żyiących, do czynienia mieć niechcę....

Rzucili mu śię do nóg, żona, dzieci, *Syrwey* łzami zalani, z oświadczeniem iak nayżywszych sentymentów swoich ku niemu, ale on ściąwszy usta, ani słowa do nich nieprzemówił, i w krórce skonał.

F I L U T.

Pewny Jegomość, suto ubrany od złota i kleynotów, wszedł do domu gościnnego w Paryżu, już po osmey godzinie w wieczór, i zamówił dla siebie kilka pokoiów, a tym czasem prosił o iakiego wiernego człowieka, któryby sprowadził rzeczy iego z kantoru *Diliżansy*.

Przełożono mu, iż to iuż zapóźno, i że kantor o tym czasie iest zamknięty: owóż sprowadzenie rzeczy swoich nazaiutrz odłożył. Zeby się nie nudzić, prosi gospodarza o karetę naiemną, dla przeiażdzki po Paryżu.

Zaieżdza do iednego z domów poświęconych uprzeymey grzeczności; wywozi z niego Nimfę, porządnie ubraną; wſtępuie z nią do zegarmiſtrza, z pretenſyą, żeby koſztowną zrobił kopertę do iey zegarka, który na ten koniec upraſza Damy, aby raczyła u zegarmiſtrza zoſtawić. Przywykła do wſzelkiey powolności grzeczna Nimfa, zezwala chętnie, a ſama z kawalerem, iedzie do ſtancyi iego w domu gościnnym.

Kawaler, rozkazuie delikatną ſporządzić kolacyą, a tym czaſem nim będzie gotowa, oświadcza Nimfie, iż umyślił dać iey nowy dowód przywiązania ſwego i wſpaniałości. Każe przyzwać jubilera z kleynotami z pobliſka, dla zamiany iey branſoletków i zauſznic, na inne, koſztownieyſze nierównie.

Przychodzi Jubiler; ſtawia obiór branſoletków i zauſznic, zachodzi zgoda o cenę, bierze Kawaler od Damy, w iednę rękę iey właſne kleynoty, w drugą od jubilera wybrane, a w tym, otworzywſzy okno, woła, niby na ſwego człeka, żeby za dwa Luidory podwóyne przyniósł mu monety.

Nie widać nikogo; zaczyna go brać niecierpliwość, wychodzi z izby z gniewem do

ſieni, dla ſzukania ſwego ſłużącego, lubo go chciał w tym wyręczyć jubiler.

Wyſzło pół godziny, nie powraca nazad kawaler; czeka jubiler i Nimfa; przychodzi im na myśl, czy nie ſtało ſię co Panu, wychodzą ſzukać go; ale próżno. Jegomość Pan Kawaler, był to filut, który ſprzątnąwſzy kilka ſztuk ſtołowego ſrebra, zabrawſzy branſoletki i zauſznice, tak damy, iako i jubilera, zemknął ſzczęśliwie.

Po drodze wſtąpił ieſzcze do zegarmiſtrza, i zegarek damy odebrał. Y tak tedy, Nimfa, za grzeczność, zegarek, branſoletki i zauſznice; jubiler za kleynoty, goſpodarz domu gościnnego, za ſtancyą, karetę, kolacyą, ſrebro ſtołowe, oſiedli na koſzu; ale za to poprzyſięgli, iż na drugi raz będą oſtrożnieyſi.

Filuty, których pełno w Paryżu, ba i naſzey Warſzawie nie braknie na nich nie dość maią, iż różnemi ſpoſobami oſzukuią ludzi wſzelkiego gatunku, ale ieſzcze wyſadzaią ſię, na nayzuchwalſze i nayniebeſpiecznieyſze kawałki, żeby to niby cechmi-

ſtrzami w ſwoim kunſzcie i ober-filutami pokazać ſię.

Tak ieden filut poſzedł w zakład z ſwemi kollegami, iż Strażnikowi Policyi, który z urzędu ſwego wſzędzie ſzlakuie i ściga filutów, cały tył od ſukni na ulicy oderznie.

Dokazał tego, a to ieſzcze w dzień galowy, którego Strażnik uſtroił ſię w ſwóy paradny uniform. Wſzczął bowiem zwadę przez namówione oſoby na rynku *de Saint Ovide*, na którą pozbiegali ſię ludzie; a gdy Strażnik przebierał ſię przez cizbę ludu, dla docieczenia przyczyny tumultu, on mu zupełnie wſzyſtkie tylne fałdy od zwierzchniey ſukni oderznął, tak, iż biedny Strażnik, nim natrafił na znaiomego, któryby mu płaſzcza pożyczył, ſtać muſiał na celu publicznego pośmiewiſka ciurów i poſpólſtwa.

Co większa, tenże filut założył ſię powtórnie, iż nazaiutrz z domu Strażnika doſtanie teyże ſamey oberzniętey od ſiebie ſukni. Dokazał i tego. Wiedział czas, którego Strażnik z domu wychodzi, przyſzedł w tedy do iego żony, udał ſię za czeladnika, przyſłanego od krawca za rozkazem męża po wzięcie ſukni oberzniętey do na-

rządzenia; nagadał ſię ieſzcze na bezczelność i niepoczciwość filutów, wziął ſuknią, i poſzedł.

Y to także ſztuczka nie łada. Pewny kawaler, znayduiąc ſię na parterze w Włoſkiey komedyalni, poczuł gościa w ſwey kieſzeni. Przepikniony o ſzczerozłotą tabakierę, ſięga po nią w tym momencie; ale próżno, iuż iey nie maſz:

Spoyrzy po oſobach, do koła ſiebie ſtoiących, wſzyſtko ludzie uczciwi, ani można mieć porozumienie na którego; a wſzelako tabakiery nie maſz.

Jednego Jegomości mina, czyni mu wielkie podeyrzenie, i coraz bardziey zda ſię ie utwierdzać. Na los ſzczęścia, ſzepnie mu do ucha: „ Bracie, nic pewnieyſzego, iako że zpaluſzkowałeś mi ſzczerozłotą tabakierę, proſzę ią bez ceremonii oddać, bo inaczey wſtydu cię nabawię.

Ach! zmiłuy ſię Panie łaſkawy, odpowiada złodziey, nie czyń mi tey krzywdy, przyznaię ſię, wziąłem twoię tabakierę; ale iakże ia ią powrócę nazad WPanu? . . . . .

boię ſię, żeby kto nie obaczył... iuż chyba ſam z łaſki ſwoiey wyimiy ią z moiey kieſzeni... oto tu ieſt w tey prawey....
— „ Mnieyſza o to. „ Sięga kawaler po tabakierę do kieſzeni filuta, a ten go w tym łap za rękę, przytrzymuie, i w głos krzyczy: złodziey, złodziey, Mościpanowie, patrzcie, oto ręka iego w moiey kieſzeni. „

Niepodobna! iak ten podſtęp nieſpodziany zmieſzał uczciwego kawalera. Ci, którzy obok nich ſtali, daią łacno wiarę, widząc oczewiście rękę w cudzey kieſzeni. Co nie robi Kawaler, tłumacząc ſwoię niewinność, i ukazuiąc chytrość filuta; nic to wſzyſtko nie nada, ſprowadzaią wartę, i biorą go w areſzt.

A co go naynieznośniey bolało, to, iż gdy ſię on uſprawiedliwiał, filut tym czaſem wymknął ſię, i z tabakierą uſzedł. Ale wkrótce zchwytany, przyzwoitą ſwym niecnotom karę odebrał.

Filuci Londyńſcy, maią być ieſzcze ſubtelnieyſi od Flutów Paryżkich, ukazuie to naſtępuiąca Anekdota, opiſana od pewnego

go

go Francuza, który nierad grał w niey rolą.

„ Wychodziłem, prawi, z teatru; tłok był we drzwiah niezmierny; w tym nagle zawinęło mi ſię coś koło nóg, tak, iżbym ſię był obalił, gdyby mnie naciſk ludzi nie utrzymał. Macnę ręką, i natrafiam pſa iakiegoś wielkiego. Pamiętałem ia na to, iż pod czas wychodzenia z teatru, ile w wielkim tłoku, panuią poſpolicie złodzieyſtwa; owoż miałem ſię na oſtrożności, trzymaiąc ręce przy kieſzeniach. Jedną razą chwyta mnie coś za rękę, łapą niby koſmatą, i porywa mi zegarek. Miałem tyle przytomności, żem uchwycił za łapę, i w głos krzyknął: *złodziey*, *złodziey*, „ Rozſtępuie ſię natychmiaſt ciżba; poznaię, że to co mi ſię około nóg uwiiało, ieſt pies, ktory mi porwał zegarek. Trzymam go tedy z całey ſiły; ale nagle, tak mnie ktoś w krzyż z tyłu zciſnął, że z wielkiego bólu, ażem puścił pſa z ręku. Ci, którzy mnie otaczali, i którzy na hałas, uczyniony odemnie, ſkupili ſię około mnie, zrobili wolne przeyście pſu, a mnie nazad tak ściſnęli, iż utraciwſzy zegarek, w równym tłoku, iak i pierwey, zoſtawałem.

Po mimo tey ſtraty moiey, nie mogę ſię wſtrzymać od smiechu, kiedykolwiek ſobie wyſtawiam, iak ſztucznie mnie te filuty zażyli. Nie nowina to u nich; i zapewniaią, iż te pſy, nic innego nie ſą, tylko chłopcy przebrani, ktorzy w tey poſtawie kradną beſpiecznie; ponieważ otoczeni od tych ktorzy ich zażywaią do tey roboty, pewni ſą, iż zrobiwſzy ſwoie; znaydą wolne przeyście do ucieczki. Taką rzeczą, trzeba być koniecznie zkradzionym, kiedy ſię ci Ichmoście na to uſadzą. „

POWROT

Z tamtego świata.

Pan *Deſpreuils*, tak ſię wycięczył zbytnią dietą, przepiſaną ſobie od iakiegoś Empiryka, a nadto ściśle zachowaną od ſiebie; że aż w głowę zaſzedł. W manii, uczynił teſtament, w ktorym ſwoiey bliſkiey kre-

wney, zakazał iść za pewnego kawalera, pod odpadnieniem od dziedzictwa.

Rozporządziwſzy domem marzy mu ſię, iż umiera, i na nic nie narzeka, tylko że ſię ociągaią z pogrzebieniem ciała iego.

Służący, przeświadczeni, iżby Pan ich do zupełnego zdrowia i rozſądku przyſzedł, gdyby ſię czym poſilił, namawiali go iak nayuſilniey do wzięcia pokarmu; ale on nic do gęby wziąść niechce, daiąc przyczynę, iż iuż umarł, i wołał na nich, żeby ſpieſzyli ſię z pogrzebem, (bo to lato,) trupa w domu długo trzymać nie można. Prawda że lato, i gorące lato, kiedy kanikuła w głowie.

Naoſtatek nie mogąc go przeprzeć, przedſię biorą ſtoſować ſię do iego manii; aby tylko go do wzięcia pokarmu pociągnąć.

Obiiaią tedy pokoie zielonym obiciem, roſtawiaią w nich różne rzeczy, tak, iżby łacno uwierzył, iż ſię iuż doſtał na pola Elizeyſkie. Udaie ſię im ſztuka, wierzy Pan; ale ani dżbła iednego wziąść do gęby niechce.

Przebiera ſię zatym goſpodyni iego z lokaiem w białe ſuknie, udaią ſię za umarłych, prawią mu dzikie rzeczy o przypadkach iakie im ſię zdarzyły w ciągu podroży ſwoiey

do pól Elizeyſkich. „ Ale co też to za poczciwy, rzęką, ten *Charon* przewoźnik na *Styxie*! umarliśmy na czczo, nie wzięliśmy nic z ſobą. dzień cały muſieliśmy wędrować, nim doſzliśmy do przewozu; przeprawuiąc ſię przez *Styx*, ieſzcze bardziey nas woda ściągnęła ſzalenie nam głód dopiekał; owóż poczciwy *Charon*, dał nam przecię parę kurcząt pieczonych, i piwa tuteyſzego półgarca, żebyśmy ſię poſilili, inaczey, niewiemy, coby ſię ſtało z nami! ... Ależ co to za kurczęta kraiu tego i piwo! tak delikatne! trudno wyrazić; o! tamte naſze ziemſkie! ani ſię umywały do nich! ... — Y cóż, ziedliście ie? ſpyta Pan; a czy podobna zieść całe od razu, ſtraſznie ſą ſytne! — Pokażcie no mi, muſzę ia ich ſprobować „ — O! Panie kawałeczek ci tylko damy, maſz zamorzony żołądek, mogłoby ci co zaſzkodzić!

Uwierza Pan; daią mu po kawałku, ie, i zachwala — A pokażcież no piwo tuteyſze? — Daią mu napòy, umyślnie ſporządzony; piie, i rownie zachwalą.

Po poſiłku, zbiera mu ſię na ſen, uſypia, i fortelem ſług poczciwych, do pierwſzego zdrowia wkrótce przychodzi.

ZAKŁAD.

Pewny młody Paryżanin, który w liczney kompanii ieździł do *Lugdunu*, dla widzenia tego drugiego w królestwie miasta po stolicy, opowiada następuiącą awanturę, która mu się tamże zdarzyła.

„ Mieliśmy prawi, stancyą w *la Petite-Notre-Dame;* i tak się dobrały wszystkie osoby, stoiące w oberży, żeśmy razem iadali.

„ Dniem przed naszym wyiazdem, przechadzam się po dziedzińcu około piatey godziny wieczorney, aliści wchodzi przez bramę iakiś człowiek, prowadząc konia za sobą za cugle. „ — Hey iest tam kto? krzyknie w głos, przyiąć tego konia odemnie, i zaprowadzić go do stayni. „ Wypadı sługa oberżowy, „ przepraszamy WPana, rzecze do podrożnego iż go dziś umieścić na noc niemożemy; ponieważ wszystkie łòżka są zaięte. — Nic sprawiedliwszego, od-

powiada podrożny, wiem ia otym, iż powinieneś mieć nadgrodę za twoie usługi; nie bóy się mòy bracie, dnia iutrzeyszego, odieżdzaiąc, będę ci się znał na rzeczy. — Ale ia nie to mówię, Mospanie; WPan tu na nocleg przyiechałeś, i każesz konia w stayni postawić, a u nas, ani dla WPana, ani dla konia iego, mieysca niemasz; darmo, musisz WPan do inney pofatygować się oberży. — Ale rozumiem, móy kochany; czyż to ia się uchowałem za piecem? ustawicznie w drogach iestem; wiem wszystkie zwyczaie; iuż nie bòy się, nie będziesz tego żałował; z miny uważam, żeś łepski chłopiec; dayże baczność, żeby mòy koń miał wygodę „ i to rzekłszy, idzie prosto do oberzy, porzuciwszy konia na dziedzińcu. — „ A to widzę głuch iakiś, rzecze służalec; ia mu mówię, żeby sobie poszedł gdzie indziey, bo tu mieysca niemasz, a on mi o tryngieldzie rozprawia... No i cóż ia z koniem iego robić będę? — A iużci musisz go przyiąć, odzywam się do służalca, żeby za bramę gdzie nie wyszedł; bobyś był w odpowiedzi... Nic pewnieyszego, iako że ten człowiek głuchy.

„ Udałem się za nim do oberzy. Zaszedłem do kuchni; gospodyni, z tymże samym

komplementem, co i ſługa przyimuie go, oświadczaiąc, iż niema mieyſca dla niego — Bardzo wierzę, Mościa Pani, odpowiada iey z wielkiemi przymilen ami, iż u tak porządnego goſpodarſtwa, nie zeydzie mi na przyzwoitey wygodzie... Raczyſz WPani nie ſilić ſię na obſzerne oświadczenie ſwoiey grzeczności; bo przyznam ſię, żem tak głuchy, iż choćby z działa palił przy moich uſzach, to nieuſłyſzę.... „ i natychmiaſt wchodzi do apartamentow, ſiada ſobie na krześle przy kominku, i rozgoſzcza ſię, iak w ſwoim domu.

„ Idzie goſpodyni do męża naradza ſię z nim, co tu robić? czy nam licho nagodziło takiego natrętnika, a ieſzcze głucha? naybardziey, co mu dać ieść? na czym będzie ſpał? — A iużci niepodobna go za kark wypchąć, rzecze mąż; da mu ſię to, co zeydzie ze ſtołu od gości, a na krześle ſię przeſpi.

„ Pobiegłem do naſzych kompanow, opowiedziałem im rzecz całą, śmieliśmy ſię do rozpuku.

„ Daią do ſtołu; głuch idzie za nioſącemi potrawy, zabiera mieyſce w końcu ſtołu, i bez ceremonii ſobie ſiada. Oſtrzega go goſpodarz „ Moſpanie, tu dla dobraney

kompanii oſób, pod liczbą, na kryto WPan w oſobnym pokoiu ieść będzieſz — Niczego, Moſpanie goſpodarzu, znam ia maniere, wiem iak trzeba z ludźmi żyć na świecie. Naypoźnieyſzy przyiachałem, to też na oſtatnim mieyſcu przeſtawać powinienem, proſzę WPana, niechże ia tu ſobie ſiedzę, dobrze mi tutay: gdzie ſiadł, to ſiadł, byleby ziadł...„ — Jaki taki z nas, toż ſamo, wrzeſzcząc na cały głos mu do ucha powtarzał; ale darmo, on ſwoie: proſzę nie czynić ze mną ceremonii... nie pozwolę na to odpowiadał.

„ Cóż robić z głuchem, muſieliśmy radzi nie radzi przyiąć go do ſwey kompanii. Rozdano potrawy; żarł za czterech. Po ſtole, gdy przyſzło płacić za wieczerzą, dobywſzy worka z kieſzeni, położył 30. *ſous* na ſtole. — Ale, Moſpanie, daleko tu więcey zapłacić na każdą oſobę przypada. — Nie, Mościpanowie, nie; proſzę mi tey krzywdy nie czynić, ia ſam zapłacę... Choć człowiek nie pocześnie ubrany, iak mnie WPanowie widzicie, ale iednak ieſzcze z łaſki Pana Boga znaydzie ſię który groſz w kieſzeni. Przepraſzam uniżenie, iż tey ich grzeczności, w założeniu za mnie zapłaty nie przyimę. „

„ Szła służebna z faierką do ogrzewania pościeli: postrzegłszy ią, wstał od stołu, pokłonił się nam wszystkim, i poszedł do sypialnych izb, a my zostaliśmy się ieszcze w sali, pękaiąc się ze śmiechu z tych scen, które ten człowiek wyprawiał.

We dwie minuty, wpada sługa do sali, i zawoła na mnie: Mospanie, biegay WPan czym prędzey, wszak to ten głuch wszedł zamną do izby WPana, szczerze zabiera się do iego łożka, i żadnych racyi nie słucha.

Porwaliśmy się wszyscy natychmiast i pobiegliśmy do niego; ale darmo, zatarasowane dtzwi mocno, ani sposobu ich dobyć. —

Niezmierny śmiech wszystkich ogarnął; iam się i śmiał i gniewał. Nawybiiawszy się do drzwi, i nawymyślawszy na niego, ucíszyliśmy się, podsłuchuiąc pod edrzwiami. Alić on gada sam do siebie: „ Co ia za nieszczęśliwy człowiek! nic nie słyszę! ... może tu kto do mnie drzwi wysadzić.... może obrać ze wszystkiego.... może mnie i zabić ... a ia tego nie posłyszę! ... ha! całą noc spać nie będę, i świecy nie zgaszę, żebym przynaymniey odstrzelił się z pistoletow, gdyby mi kto chciał iaką krzywdę czynić.... „

„ Nie przyszło do tego; dałem mu pokoy przedrzemałem całą noc na krześle przy kominku, maiąc politowanie nad iego kalectwem.„

Nazaiutz wstał raniuteńko, kazał konia okulbaczyć, a zapłaciwszy postugaczowi, co się należało, wsiadł na konia, i ten do mnie komplement uczynił: „ Przepraszam bardzo WPana, za zaięcie łożka iego. Jeden mòy przyiaciel, któremu tu dnia wczorayszego odmòwiono nocleg, założył się o 20 luidorow ze mną, iż tu nocować nie będę. Dwadzieścia luidorow, warte są tego, żeby dla nich zostać głuchem, i takim natrętnikiem, iakiego ia dnia wczorayszego grałem rolą... Zrozumiałem z mowy WPana, iż diliżansą wodną masz się puścić w podróż; będę miał honor zeyścia się z WPanem, i upraszania go na dobre śniadanie, ażebyś sobie zły nocleg nagrodził. Do powidania... zwarł konia ostrogami, i poiachał, a ia ażem ostupiał z zadziwienia, iak on na takiego dutka, krwią zimną mógł się wystrychnąć!

Jeden Gaſkończyk wlokąc ſię na ſzkapinie, co iey tylo ſkura było i kości, ziachał ſię przy *Pont Neuf* w Paryżu, z zacnym kawalerem, iadącym na dzielnym koniu. — „ Wa w zakład o 10. Luidorow, Mości Panie, krzyknie na kawalera, iż WPan tego niedokażeſz z ſwoim rumakiem, co ia dokażę z moim człapakiem — Idzie rzecze kawaler, patrząc z pogardą na ſzkapſko Gaſkończyka.

Zſiad co tchu z konia Gaſkończyk, porwał go na plecy, i wrzucił z moſtu do *Sekwany*. — No Panie, dokażże WPan tey ſztuki z ſwoim koniem? — Rośmiał ſię kawaler z ſzalonego manerwu Gaſkończyka, i 10. Luidorow mu zapłacił.

Inny Gaſkończyk nie maiąc i ſzeląga w kieſzeni, poſzedł z drugim o zakład, iż ſuty zie obiad i dobrego wina napiie ſię, a to go nic koſztować nie będzie, wymowili ſobie, żeby to było, nie u przyiaciela, ani iakiego znaiomego, ale w takim do-

mu, gdzie go nikt nie zna, i gdzie noga iego nigdy niepostała.

Wiedział Gaskończyk, iż pewny bogaty obywatel w tym mieście, miał wydawać za mąż córkę, z posagiem stotysięcy Liwrow, i na ten koniec dawał wielki obiad. Idzie do niego, przed samym właśnie daniem do stołu, i rzecze: Mospanie, mam WPanu pewny proiekt uczynić, na ktorym pięddziesiąt tysięcy liwrow czystego zysku nieomylnie zarobisz; ale go przy ludziach wyiawić nie mogę, usuńmy się do osobnego pokoiu, i zaraz, bo rzecz ta zwłoki nie cierpi.

Zatrudniony gospodarz, „ gdzież teraz widzisz WPan; rzecze, mam gości, siadamy do stołu. Ale prosiemy zostać znami na obiad, to po obiedzie rozmowim się „

„ Tego też właśnie trzeba było Gaskończykowi. Podiadł i napił się należycie; a po stole, gdy go wezwał do gabinetu swego gospodarz, i prosił o obiawienie proiektu, tak rzecze: „ Mospanie, wszak prawda, że WPan còrkę swoię za mąż wydaiesz? — Prawda. — Liczysz za nią stotysięcy liwrów posagu? — Tak iest. — Wiesz co? Wyday ią za mnie. a ia na pięćdziesiąt tysiącach przestanę, i WPan pięddziesiąt tysięcy pewniuteńko zarobisz?

Nieprzyiął tego proiektu gospodarz; a Gaskończyk mniey dbał o to, dosyć że swoy zakład wygrał, i darmo napaśł się.

OMYŁKA.

Podczas ostatniego oblężenia *Gibraltaru*, trzymaiący wartę Anglik na baszcie iedney, naprzeciwko szańcu od obozu *S. Rocha*, częścią z niewczasow, częścią z niebespieczeństwa, tak miał głowę nieprzyiacielstwem nabitą, że mu się wszystko Hiszpani snuli na oczach, iakoby do Gibraltaru dobywali się. Przyniesiono mu garnek z grochem na wieczerzą, ktory nie daleko budy swoiey postawił, żeby przestygł. Małpa, ktorych po skałach Gibraltarskich iest pełno, zwietrzywszy groch zdaleka, a ile ieszcze kiedy był kraśny, podemknęła się cichuteńko do garka, i ujadła grochu część znaczną. Gdy po resztę pyskiem sięgnie, zapadła iey głowa w garnek. Trzęsie gar-

kiem, ſzarpie ſię, chcąc ią uwolnić, a może też i groch parzył. Poſłyſzy ſzeleſt żołnierz, ſtoiący na warcie, uyrzy, alić małpa morduie ſię z garkiem na łbie. Przeświadczony, że to ieſt Hiſzpan, w wielkim ſwoim kapeluſzu, pełzaiący do Fortecy po ſkale, ſtrzelił, zawołał do broni: uderzono po Fortecy na trwogę, tumult powſtał w całym mieście, ryknęły działa po wałach, ſłowem: całą ſwoię ſiłę wywarł Generał *Elliot* na danie odporu nieprzyiacielſkiey napaści, dzieſięć minut trwał ogień i trwoga; gdy nakoniec ukazuie ſię małpa z garkiem, być owym Hiſzpanem w kapeluſzu, i powſzechny śmiech ſprawiwſzy, wraca ſpokoyność. Gazety, Pamiętniki, i Dzienniki, opiſywały ten nocny ogień, i powſzechną w obu obozach nieſpokoyność; ale nie dodawały przyczyny, bo nie wiedziały; oſtatni dziennik *de Bouillon* odkrył tę taiemnicę.

Podczas pierwſzego grania Komedyi pod tytułem: *Doktorowie teraźnieyſi*, która była ſatyrą, wymierzoną na Pana *Meſmera*, autora magnetyzmu, takowa zdarzyła ſię Anekdota.

Jedna, dobrze podſtarzała Panna nabożna wielce do Pana *Meſmera*, dała lokaiowi ſwemu luidora i ſporą piſzczałkę, rozkazuiąc mu, ażeby tę Komedyą wyświſtał.

„ A kiedyż to trzeba będzie zacząć świſtać? ſpyta Pani, lokay — Oto wtedy, kiedy zaczną grać tę ſztukę. — A iakże ia to poznam? — Oto tak: dwie dziś ſztuki grać będą; naypierwey inną, a potym tę *Doktorow teraźnieyſzych*. Jak ſię pierwſza ſztuka ſkończy, zapuſzczą oponę, i aż dopiero na drugą ſztukę tę, co ci mowiłam, odſłonią; otoż wtedy zaraz zacznij świſtać.

Poſzedł lokay wcześnie na teatr, opatrzył ſobie dobre mieyſce, pilnuie odſłonienia i zaſłonienia opony; na ſpodziewanie, coś takiego wypadło, że pierwſzą ſztukę, ktora miała być grana, na inną odmienić muſiano, złożoną z dwoch aktow.

Przeſzedł pierwſzy akt; więc, po iednym razie, podnieſiono i zapuſzczono oponę. Zaczyna ſię akt drugi, odſłaniaią drugi raz oponę; tu lokay świſnął, co miał ſiły w piſzczałkę, i raz poraz poświſtuie.

Rozruch po całym teatrze; dziwuią ſię wſzyſcy, kto to taki, powſzechnie przyiętą i ſzacowną ſztukę wyświſtuie? Biorą na pytki lokaia, ten rzecz całą obiawia. Naśmia-

no ſię wielce z grubey omyłki; *a Doktorow teraźnieyſzych*, z tym większym przyięto pokiaſkiem.

W Kościele SS. Młodziankow w Paryżu, umarł nagle iakiś ſłuſzny człowiek Niebyło nikogo, którýby go znał pewnie. Jedna tylko oſoba, na domyſł mòwiła, iż to będzie Pan ten a ten, mieſzkaiący w tym a w tym domu.

Wzięto trupa, zanieſiono tam, gdzie ona ukazywała. Tak ſię iakoś zdarzyło, iż i poſtawą ciała, i ubiorem, był do dziedzica tego mieyſca podobny, który, niewiadomo gdzie, rano ieſzcze wyſzedł.

Zona z dziećmi, w płacz i ſmutek; ubieraią ciało, czynią przygotowania do pogrzebu.

W wieczor dopiero, o godzinie dzieſiątey, pokazała ſię omyłka, gdy prawdziwy goſpodarz przyſzedł do domu, i z wielkim zadziwieniem obaczył, żonę z dziećmi. opłakuiącyck ſiebie, a ciało ſwoie w trunie złożone, gdy on miał ſię cale dobrze.

KRY-

KRYTYK.

Czy prosto, czy na wywrot, wrażenia od obiektow, wpadaią nam w oczy? to do Fizykow, Fizyologistow, i wszech w obec, komu o tym wiedzieć należy, odsyłam. Co to, to pewnie wiem, iż natura, iako prosta, prawa, i dobra matka, prostotą miarkować się we wszystkim, sprawiedliwie rzeczy brać, do dobrego wszystko kierować nam każe.

Rozkaz ten, w ogólności mówiąc, stara się w swym sposobie dopełniać, nie tylko rozumne ale i nierozumne stworzenie. Wszakże, do szczegulności, zstąpiwszy, zdarzaią się niektore wyrodne od tey matki iestestwa.

Nie zapędzam się w wyliczanie rozmaitych gatunkow wyrodu, nad iednym tylko chcę się teraz zastanowić, to iest: nad wzrokiem

ciała, niewyłączaiąc od niego, ieśli tak rzec wolno, i wzroku duſzy.

Chcę mowić: iż ſą takie oczy u niektórych ludzi, co wſzyſtko biorą opak, na nicę, na złe.

Czy to czyni ich konſtytucya? czy temperament? czy ród? czy wychowanie? czy ſposób życia? czy inna iakakolwiek przyczyna? niechay ſami opowiedzą; ale mi ſię wſzyſtko wydaie, że to będzie ſok iakiś oſtry i iadowity, zamiaſt ſokow czyſtych i łagodnych, iakie znayduią ſię u innych ludzi, w ich ſkładzie oka zalęgły.

Y iakież na to lekarſtwo? trzeba różnych probować, aż ſię na ſkuteczne napadnie... Powiadaią, iż klin klinem wybiiać złym złe truć, ieſt naylepiey...— może to być. Naſtępuiący przykład, zda ſię potwierdzać po części tę prawdę.

Pewny *L'Abbe*, mieſzkaiący w ſtolicy, ſtraſznie lubił wſzędzie ſię wtrącać, wſzyſtko przed ſąd ſwoy pozywać, wſzyſtko nicować, naganiać i potępiać, tak dalece, iż to prawie było iego żywiołem.

Jeſzczebym mu darował, żeby, iak o wſzyſtkim rad był ſądzić, tak ſię też znał na wſzyſtkim. Ale to, Boże odpuść! wielka *curta ſuppellex*, a którąbyś kolwiek ka-

tegoryą w nim ſamym tknął; wſzędzie na iego ſtronę *non poſſe pretendere*, wſzędzie *ſuccubuiſſe* nieomylnie wypadłoby.

Cożkolwiek bądź, nie znał on tego do ſiebie, a maiąc różne znaiomości, i po różnych mieyſcach ugęſzczaiąc, wſzędzie grał rolę ſurowego krytyka, i oſtrego cenſora.

W krotkim czaſu obchodzie, tak mu iakoś wypadło, iż w iednym domu zganił Tancerza, w drugim Fechmiſtrza, w trzecim Fletrowerſiſtę, w czwartym Metra od śpiewania, i wſzyſtkich tych czterech pozbawił lekcyi, doſyć dla nich zyſkownych.

Zadziwieni nieſpodzianemi odprawami Metrowie, dochodzili długo przyczyn ſwego odrzucenia, aż nakoniec i doſzli, iż to *l'Abbé* im ſię przyſłużył.

Nie mogli tego żadną miarą ſtrawić, i każdy z oſobna warł na niego, a tylko ſpoſobney pory do zemſzczenia ſię czekał.

Nadeſzła ta pora, oſobliwſzym iakowymſiś zdarzeniem; wſzyſcy bowiem zeſzli ſię razem do iednego Kafenhauzu, a tam o różnych ſwoich awanturach rozprawiaiąc, znaleźli ſię kollegami, nie tylko ſpólnego umartwienia, ale też i ſpolney iego przyczyny.

Spólną tchną wſzyſcy zemſtą ,, ach! gdybyć gdzie naſzego Dobrodzieia w ciaſnym

kącie przydybać, a tak ieszcze żebyśmy byli wszyscy razem! oy dopieroż dalibyśmy mu lekcyą na całe życie! — Stóycie, błysnęło iednemu; boday to nie on chodzi często pod wieczor do lasu o milę od miasta, tamby było wyśmienicie zasadzić się na niego, cobysmy chcieli, tobyśmy z nim zrobili. — Prawda, wiem ia o tym, iż on każdego dnia nad wieczorem obchodzi pieszo okolice tuteysze, musi i w tym lesie bywać. — Oto naylepiey, tych a tych dni, zchodźmy się nad wieczor do tego lasu, to go kiedykolwiek pewnie przydybiem. — A cóż mu będziem robić, w lesie zastawszy? — Suchą łaźnią mu sprawim. — Jak sobie chce, stare próchno, niema się nad czym pastwić. Oto tak, ponieważ on takim bieglcem się zrobił, iż nas poganił; moia rada, żeby każdy z nas przymusił go do dania experymentu, w stosownym do swey sztuki gatunku; naśmieiem się, naszydzim z niego, nakiwamy mu, i puścim. — „Zgoda, zgoda, pamiętaycież czatować; i z tym rozeszli się.

Za pierwszym razem, znayduią w lesie *l'Abbusia*. — „Bardzo sobie winszuiemy, Mości Xiężę, iż mamy honor tu powitać WPana. Słyszeliśmy o biegłości iego we wszystkich gatunkach umieiętności i kunsztów

a osobliwie naszey prof ssyi; będziesz zatym tak łaskaw, dać nam tutay dowod swoiey zdatności.... Ja upraszam WPana, żebyś raczył mi pokazać, iak na fletrowersie grać potrzeba. — A mnie WPan ukażesz, iak mam fechtować. — Mnie śpiewać nauczysz — A mnie tańcować.

„ Zapewne się mylicie WPanowie; ia cale tego, czego po mnie żądacie, nie umiem. — Nie mylemy; wiemy pewnie, iakim WPan iesteś *Virtuozem*, dałeś tego w krytyce swoiey na nas, dowody. — W iakiey krytyce? gdzie? kiedy?... Przypomniy sobie dom Państwa... gdzieś powiedział, że chłop lepiey na suiarze gra odemnie. — A ia, że iak niedźwiedź tańcuię. — A o mnie, że iak kuchta, rożen z pieczenią, tak obracam floretem. — A mnie wyć z wilkami koło gromnic odesłał....

— Baśnie iakieś i potwarzy ktoś wam nagadał o mnie, moi Panowie. — No no, czy baśnie, czy nie baśnie; nie trać czasu, daley, śpieway mi wraz tę aryikę, daie mu Metr od śpiewania, kartelusz z notami. — Ale ia się nic cale nie znam na notach. — Nie wierzę temu, śpieway mi zaraz.

Widzi biedny *l'Abbé*, że nie przeliwki, ogląda się po stronach, wypatruiąc iakowegoś

od napaśnikow ratunku. Ale żywey duſzy nie widać, a ci dobywaią piſtoletow, i grożą mu: czyń co każem, bo zginieſz. — Odśpiewawſzy aryię, będzieſz mi grał ſztuczkę iednę na fletrowerſie. — Po muzyce, potańcuiemy z ſobą. — A ia na oſtatku fechty ſobie zamawiam.

Tu to było ſłuchać, iak biedny *l'Abuś* wyśpiewywał aryą w leſie głoſem baranim; iak gołki, fuzy, ogonatki na fletrowerſie wybierał! tu patrzeć, iak żartko w Filozofſkim ſtroiu ſwoim, allemanda tańcował; albo iak zręcznie wywiiał ſię z floretem! zwłaſzcza, gdy mu gibkiemi witkami pomagali do tego mściwi Metrowie!

Po odbytey operze, koncercie, balecie i fechtach, wytarſzy mu kapitułę, i dawſzy każdy od ſiebie zaświadczenie, iż nic nie umie, puścili go z lekcyą, iak ma na potym krytykę ſwoię i cenſurę miarkować.

TESTAMENT.

Pan *Stagemore*, Paſtor w Hrabſtwie *de Leicheſter*, gdy umarł, taki między iego papierami znaleziono teſtament: Zoſtawuię moim dzieciom 50 psów różnego gatunku, 100 par pewnego ubioru (można ſię domyślić) 400 par trzewikow, 100 par bótów, 80 peruk, 80 wózków i kolaſek, 300 taczek, 200 motyk i łopatek, 50 ſiodeł i czaprakow, 80 karow.

Item: bardzo wiele trzcin i laſek, otaxowanych do 80 funtow ſzterlingow, 60 koni i klacz, 200 rydlow i wideł, 75 drabin, 300 rapirow, piſtoletow i ſzpad.

Item: ſzkatułkę z 1000 funtow ſzterlingow, i ſporą ſkrzynię z białą monetą.

Ten Paſtor miał iednę goſpodynią i lokaia, których o godzinie oſmey w wieczor, w czeladney izbie na noc zamykał. Nim ſię zaś ſpać położył, wyſtrzelił raz z fuzyi i pſy wſzyſtkie poſpuſzczał.

Znaleziono go iednego poranku, pogrążonego w ſtawie. Powſzechny był domyſł, iż go właſne pſy kareſami ſwemi obaliły, i nie mogąc ſię dla ſtarości podnieść, zalał ſię; ponieważ nie było więcey wody, iak do kolan.

Oprócz wyż wyrażonych rzeczy, zoſtawił ieſzcze dobra dziedziczne, czyniące dochodu rocznego 700. funtów ſzterlingów.

Wſzyſtko to ſpadło na iednego proſtego tragarza Londyńſkiego, iako naybliżſzego iego krewnego.

Za panowania Karóla V. pewny Adwokat Padewſki, czuiąc ſię bliſkim śmierci, zrobił teſtament, w którym czynił iednego krewnego ſwego zupełnym dziedzicem, ale pod kondycyami cale dzikiemi.

Naypierwſza kondycya była: zprośić wſzyſtkich muzyków z miaſta na pogrzeb ciała.

Druga: zebrać dwanaście dziewcząt, zielono ubranych, ażeby śpiewały pioſnki treſne przy pogrzebie, dla rozweſelenia przytomnych.

Trzecia: ażeby mſza ſpiewana była Wielkanocna z *Alleluja*, przy ciele na katafalku ſtoiącym.

Gdy po śmierci iego otworzono teſtament, wſzyſtkich ſtraſznie zadziwiła dzikość iego kondycyi; wſzakże ſąd, niezważaiąc bynaymniey na tak niedorzeczne warunki, nietylko względem zmarłego, ale względem religii, wydał wyrok, iż dziedzic nie utrzyma ſię przy dziedzictwie, ſkoroby te artykuły nie zoſtały zachowane zupełnie. Jeſt to rezolucya, ſtoſowna do światła wieku owego.

Pani iedna godnego urodzenia, w podobnym guście, kazała Piſarzowi zapiſać w teſtamencie oſtatnią wolę ſwoię w te ſłowa: „ Ponieważ pieſek móy, był nay„ wiernieyſzym z moich przyiaciół; owóż „ go czynię moim Exekutorem teſtamentu, „ i powierzam mu rozrządzenie całym mo„ im maiątkiem. Bardzo wiele mam żalu „ do ludzi; nic nie warci ſą oni, tak co do „ fizyki, iako też co do moralności; aman„ ci moi, byli niedołężni i niewierni; przy-

„ iaciele moi, fałszywi i wiarołomni. Ze
„ wszystkich stworzeń, ktore miałam przy
„ sobie, w iednym tylko piesku znalazłam
„ wiele dobrych przymiotow. Stanowię
„ więc, żeby moy maiątek, przysądzony
„ mu został, i tym wszystkim dostał się, któ-
„ rym ten piesek karesować się będzie.
„ Dopieroż to tam było nacisku do psich
„ karessów!

KOLLEKCYA.

Nie dawnemi czasy w Paryżu, puste głowy zebrawszy się w iedney kompanii, przemyślały, iakiegoby to figla wymyśleć, i rozrywkę sobie uczynić. — „ Wiecie co, rzecze ieden, oto zgromadźmy na iedno mieysce garbatych; pomiarkuiemy też, wiele ich być może w całym Paryżu. — A iakże tego dokazać? — Takim sposobem: mam ia znaiomość i zachowanie w kancellaryi tuteyszego Pisarza, napiszę list cyrkularny pod

iego imieniem, zapraszaiący do stawienia się na pewne mieysce i godzinę, w zamiarze powierzenia pewnego wielkiey wagi sekretu, przypieczętuię go pieczęcią kancellaryi, i roześzlę przez sługę mieyskiego po wszystkich garbatych. „

Pochwalili wszyscy ten proiekt, rozesłali listy cyrkularne, naznaczyli mieysce klasztor Franciszkański, godzinę dziewiątą z rana, a sami rozsadzili się dla przypatrywania się tey scenie.

Mowią o garbatych, iż osobliwszą nad innych ludzi, w rowni z kobietami, maią ciekawość; czy to iest tak w rzeczy samey, czyli nie? mnieysza o to; to pewna, że z trzechset biletow, ani ieden nie chybił.

Jak na złość, plugawy był czas, błoto, wicher, szaruga; pomimo iednak tego wszystkiego, walą się punktualnie około godziny dziewiątey z rożnych ulic garbaci, to piechoto, to w lektykach; dziwią się zakonnicy tak rzadkiemu zbiorowi, a iednego wszystko ludzi gatunku; tragarze lektyk postrzegaią, co to takiego, iż samych tylko znoszą garbatych? garbaci nawet, różnych stanow i kondycyi ludzie, patrzą po sobie, i nie poymuią co za dzika kollekcya robi się, w ktorey rozmaite widać próbki różnych

garbow, a ani iednego niemaſz proſtego człowieka! Nareſzcie ukazuie ſię figiel, i na śmiechu rzecz ſię kończy. Jeſzcze też takiey kollekcyi, nie doſtawało oświeconemu wiekowi.

PRZEZORNOSC SŁUGI.

Szlachcic ſiedzący na kilku wioſkach poiął żonę dość powabney urody, Kawaler, w ſąſiedztwie iego mieſzkaiący, żył z nim w przyiaźni, i często w domu iego przebywał, mile zawſze przyimowany.

Oboiętne i niewinne bywały zrazu iego wizyty; ale z czaſem z przyiacielſkiey uprzeymości, zawiązała ſię miłość ku Jeymości. Nieznała ona tego, nie poſtrzegał i mąż, kiedy niekiedy iednak, wpadały mu myśli podeyrzliwe.

Zdarzyło ſię, iż przypadł interes Szlachcicowi, z domu wyiachać. Ledwo co na pierwſzym ſtanął noclegu, nagle mu ſię wy-

ſtawiły podeyrzenia o kawalerze i troſkliwość o żonę, żeby w wierności ſwoiey, zkazy iakiey nie poniosła. *Ergo* tedy, argumentuie ſam z ſobą, wyſtrychną mnie na Rogala!... Nie! nie będzie z tego nic...

Wſtaie raniuteńko, budzi ſługę, i tak rzecze do niego: „Moy kochany, wieſz,
„ iak pełno złych ludzi na świecie, i iak
„ daleko zapędzaią iadowite ſwoie ięzyki.
„ Wyiachałem z domu, zoſtawiłem żonę,
„ kawaler, ten naſz ſąſiad, będzie do niey
„ przyieżdżał, i ią do ſiebie zapraſzał; kat
„ wie, co ludzie uroią ſobie z tego, i gadać
„ na nią będą. Jedźże do domu, oſtrzeż
„ o tym moię żonę, i powiedz iey odemnie,
„ iż zakazuię iey ſurowo, ażeby kawalera
„ tego, ani przyimowała w domu moim,
„ ani do niego ieździć ważyła ſię. Oznaym
„ to iey, i do mnie powracay.„

Jedzie ſługa, a tym czaſem myśli ſobie: co też to za nierozeznanie tego Pana, z takim komiſsem wyſyłać mnie do żony! Może iey ſię ani śni o kawalerze, może naymnieyſzey niema ſkłonności ku niemu, a Pan chce iey drogę pokazać! A nuż ią taka niedowiara męża urazi? nuż ton rozkazu roziątrzy? nuż na kieł weźmie? *Ergo* Pan moy, nieochybnie Rogal... Oy znam

ia kobiety, maią one ſwoie ſztuczki... Ale niczego, potrafię ſię tak ſprawić, iż i baran będzie ſyty i owca cała... Wſzelako iednak i dla mego doświadczenia, i dla Pańſkiey przeſtrogi, muſzę cokolwiek wymyślić....

Przyieżdża do domu, idzie proſto do Pani, i to iey oświadcza: Jegomość przyſłał mnie umyślnie o trzy mile ztąd z noclegu, żebym Jeymość oſtrzegł, ażeby Pani nie chodziła do brytana, co ieſt na łańcuchu przy lamuſie, i w żaden ſpoſob z nim ſię nie wdawała, żeby czaſem Pani nie ukąſił... Tak kazał Jegomość powiedzieć, iż przez przywiązanie ku Jeymości, nie tylko przeſtrzega i radzi, ale nawet chce koniecznie i rozkazuie „ to rzekłſzy, ſam w nogi.

„ *Zkądże* ſię to wzięła Jegomości ta troſkliwość? gada ſama do ſiebie; trudzić niepotrzebnie człowieka, i umyślnie go o trzy mile z tym przyſyłać?... i zkąd mu do głowy pies przyſzedł?... ia go, prócz tego nigdy prawie nie widuię, i z nim ſię nie wdaię... Ale naybardziey, co za komplement? co za ton? chcę... koniecznie... rozkazuię... day go katu! do tego to iuż przyſzło!... Otoż na złość, w tym zaraz

momencie, każę sobie brytana sprowadzić, i w pokoiu, póki moy mąż nie przyiedzie, trzymać go będę... Nauczę ia Jegomości, żeby poznał, za kogo to mnie ma, czy za żonę równą sobie, abo ieszcze i lepszą?... czy za poddankę? — Hola! iest tam kto? przyprowadzić mi tu zaraz brytana.

Przywiedziono brytana, każe go puścić wolnie do pokoiu, daie mu chleb z masłem, muszcze go, głaszcze, pieści. Póki widział pies chleb z masłem na stole, póty iako tako przyimował karessy; ale gdy ze stołu zprzątniono, dał poznać, iż one nie są w iego guście. Nic to Panią nie zastanawia, iż pies, gdy go tyka, coraz warczy; rozumie, że to piesek Boncński, którego iak chcąc, zażyć można; usadza się wprowadzić go w dobry humor, to go trąci, to go targnie, to go szczypnie; do tey nakoniec nieuwagi przyszła, iż wstążkę chciała mu na szyię zadzierzgnąć, ażeby go na niey wodzić. Gdy więc ią raz i drugi zarzuca, pies rozdrażniony rzuca się na Panią, gryzie ią w rękę, obala na ziemię, i sam w nogi ucieka.

Gwałtu! krzyknie Pani na sługi; zbiegaią się, podnoszą z ziemi, tamuią strzykaiącą

krew, opatruią rękę, fkładaią w łożku; leży chora, dni kilka, częścią z bolu, częścią z przeftrachu.

Nadieżdża mąż, zaftaie w łożku żonę; pyta o przyczynie choroby, ta mu rzecze: „WPana to robotka, WPana; kat wie nie co zamarzyło ci fię, przyflać do mnie umyślnego z przeftrogą, żebym fię ze pfem nie wdawała, a to ieszcze z takim tonem i flowami, iak do flugi iakiey, albo poddanki: „ ia chcę... koniecznie... rozkazuię „ otoż ia na złość, i na pokazanie, że nie dam góry brać nad fobą, choć mi fię o pfie ani śniło, kazałam go do pokoiu zprowadzić, igrałam z nim, rzucił fię na mnie, obalił o ziemię, i rękę mi przegryzł.

— Co fię dzieie WPani, rzecze z podziwieniem mąż, kiedy ia zakazałem ze pfem wdawać fię? — Jakże? nie przyflałeś umyślnego, tego oto *Macieia* lokaia, z tym do mnie rozkazem, o trzy mile z noclegu?

Gdy to Pani domawia, *Maciey* kiwa na Pana, wzywaiąc go pilno do fiebie. „A co, Panie, fzepnie mu do ucha, coby fię było ftało, gdybym ia był Jeymości, imie-

ści, imieniem Pańſkim, zakazał z owym kawalerem widywać ſię i iego przyimować? iam to na pſa odmienił, a widziſz, Panie, iak przyięto! *Ergo* czyſta konſekwencya, iżby nas nieochybnie wyſtrychnięto na Rogalów! — Bóg ci zapłać, móy bracie, rozumnieś uczynił; cicho, nic nie mów. „

PULARDA w KIESZENI

GOŚĆ W ROSOŁE.

Dzikie *paradoxum*! odezwie ſię nie ieden. W ſamey rzeczy dzikie; ha! nie zawadzi przynaymniey choć tytułem czytelnika przynęcić, i ciekawość zaoſtrzyć: facyata, wiele popłaca..... Ale może ſię też znaydzie przy facyacie i coś więcey.... obaczemy. Tak ſię rzecz ma.

Na wielkim bankiecie, miał ſzczęście wſzrubować ſię do ſtołu iakiś chudy pachołek. Dorwawſzy ſię brat łata do darów Bożych, których na życiu ſwoim

może nie koſztował, nie żałował gęby i gardła. Wſzakże, nie tak go ninieyſzy czas, iako raczey przyſzły zatrudniał. Już ci ia dziś, myślił ſobie, mam wſzyſtkiego po dziurki; ale to przeminie, iak mara, a iutro łapę ſsać będziem....

Gdy to myśli, na ćwiartkę pieczoney pulardy, którą na talerzu złożył przed ſobą, coraz pogląda i duma. „ Ey! coby to za ſpecyał był dnia iutrzeyſzego! z iakimby to apetytem człek ią zrepetował!.... dziś iuż naiadłem ſię do ſytości.... żal ſię Boże, napoczynać..... nie dam iey rady --- ey! gdybyć ią można było na iutro zchować!....

Im więcey na pulardę pogląda, tym go większe do ſchowania biorą pokuſy; nakoniec taka natarczywość nań uderzyła, iż zezwolił; a ſpoyrzawſzy z oka, czy kto nie patrzy, zrzucił ią nieznacznie na ſerwetę, z ſerwety w papier zawinął, i do kieſzeni zchował.

„ Bogu dzięka! ieſt pularda w kieſzeni, ma przecie człowiek, iaki taki zapas na iutro, potakuie ſobie i cieſzy ſię; gdy w tym nieſpodziany trefunek, mieſza iego ſzyki, i biednego w roſoł wprawia.

Służący zebrawſzy ſrebro ze ſtołu, nie mogą ſię dorachować ſztućca iedne-

go. Donoszą o tym Panu. Pan wnosi, iż w takim tłumie gości, zwłaszcza niektórych mu nieznaiomych, może to być, że się komu do kieszeni zabłąkał. Naywiększe zaś ma podeyrzenie na biednego szarapatkę. Idzie więc do gości, i do całey kompanii czyni taki komplement. — „ Przełożenie moie, które poważam się, Moście Państwo, wam oświadczyć, nie powinno obruszać żadney „ osoby, chyba tylko złego człowieka, „ ieśli rzecz iest podobna, ażeby ten, w „ tak zacnym gronie, mógł się znaleść. „ Poczciwość, nie zwyła się obrażać podeyrzeniem, chyba tylko w tedy, gdy „ iey do usprawiedliwienia się nie pozwalaią sposobności. Służącym moim zawieruszył się bez wątpienia sztućciec „ ieden; pomawiaią nas, iakoby miedzy „ nami miał się znaydować. Y czemuż „ nie mamy na to chętnie zezwolić, dla „ okazania fałszywego ich zarzutu, żebyśmy się wszyscy trzęśli na wzaiem? „ W nadzieię łaski, zaczynam od J. Pana --- iako mego sąsiada.

Zezwala chętnie cała kompania, Damy i Kawalerowie trzęsą się w koley,

ieden tylko ſzarapatka ſolenną proteſtacyą zanoſi, iż na rewizyą nie pozwala.

Dość czyniła podeyrzenia chudoba iego; ale zamieſzanie na podaną propozycyą, mienienie twarzy, i proteſtacya przeciwko rewizyi, wſzyſtkich w podeyrzeniu utwierdziła.

Gdy cała kompania nań nacierać poczeła, wzywa goſpodarza do oſobnego pokoiu, oświadczaiąc, iż bardzo wielkiey wagi przyczyny, dla których od rewizyi uchylał ſię, ma onemu obiawić.

Proſzę, co tam za komedyą miał goſpodarz, gdy mu ſztukę pulardy, zamiaſt ſztućca ſrebrnego, biedak z jutrem żyiący, okazał!

„ Filut! złodziey! iaki taki z kompanii mówi na niego: a tym czaſem lokay o znalezieniu ſztućca miedzy ſerwetami donoſi, a goſpodarz nad traſem niepoczeſnym chudego pachołka śmieie ſię i ubolewa z całą kompanią.

Nie wyſzłoć mu to na złe; bo go iaki taki z gości zaproſił do ſiebie po kolei na obiad; ale co ſię napocił co nawſtydził, co ſię naśmieli, to przepadło.

„ A co? czy prawda: że pularda w kieſzeni a gość w roſole?

STARY ABRAM

POWIEŚĆ ŻYDOWSKA.

W Warſzawie w Pocieiowſkim Pałacu, ſtary *Abram*, miał przytulenie przy *Leyzerze* faktorze wnuku ſwoim ſtryiecznym.

Jednego ſzabaſu, w mieſiącu *Tisri*, który przypadł podczas *Kuczek*, nadziawſzy ſię żydoſtwo kuglem i łokſiną, powychodziło, podług zwyczaiu, na podwórze grzać zęby na ſłońcu, bo był właśnie czas ciepły i pogodny.

Stary *Abram*, po odbytych boruchach, ſiadł na ławie przed izbą: *Leyzerowa* przy nim z małym u pierſi bachorem: do którey przyſiadła ſię *Ryſka*, piaſtunka *Mośkowey*, poſadziwſzy dwuletniego *Ićka* na ziemi, żeby ſię bawił.

Naypierwſza materya rozmowy miedzy matką i piaſtunką była zwyczaynie o dzieciach; ta ſwoie, a ta ſwoie chwaliła, „ Ziſte *Ryſkie*, rzecze *Leyzerowa* u-

kazuiąc ſwoie dziecko, was das geſzenes, oczki, rączki, nóżki, buzia, noſek!..... wſzyſtko propoicyonalne.... wſzyſtko na ſwoim mieyſcu!.... Awey! niech Pan Bóg broni! co to za ladny Izral będzie!... a wſzyſtko rąckami i nozkami przebiera, iak Pan ociec.... Nu! nie podobna! on muſi być bardzo wielkim bankierem, i wielkie ſkarby będzie rachować!....

— A ten *Iciek*, mówi *Ryſka*, to iuż chyba ſamym *Brzeſkim*, albo *Szkłowſkim* będzie rabinem.... kiedy on teraz tak mały, a iuż tak mądry, tak nawcony, ze wſzyſtko gębą rucha, wſzyſtko gada.. byle znalazł na ziemi karteckę, choćby nie było na niey napiſano, to on cyta, to on cyta a kiwa ſię, kiwa, az ſtrach!....

Gdy w dalſze coraz zapędziły ſię żydowki wyliczania przymiotów bachorów ſwoich, a z rozmaitych dziecinnych oznaków, w rożliczne przyſzłego ich ſzczęścia wpadły wróżby, i ſtarego *Abrama* do tego wciągały; zrywa milczenie *Abram*, i weſtchnąwſzy głęboko, tak ſię odezwie; „Boże ſzczęść tym dziecinom; niechay roſną ku właſnemu dobru, ku pocieſze familii, ku zaſzczytowi całego Izraela. Zyczę im z ſerca, powodzenia

wſzelkiego; i błogosławieńſtwa niebios; ale żebym z ich dziecińſtwa, miał na doyrzałe lata wieſzczby czynić, na to namówić ſię nie dam. . . O! nie uwierzy nikt, iak ſię grubo zawieść można na dzieciach! i iak te pozorne kwiatki, które wydzie pierwſza wioſna ich wieku, w gorzkie nader ku ieſieni wyraſtaią owoce!..... Napatrzyłem ſię tego na tylu dzieciach cudzych; mam doświadczenie i na moich.

„Móy Boże! Pan Starościc.... Pan Kaſztelanic.... albo i Pan Woiewodzic, co to były za panięta w kwiecie młodości! iak piękne, iak uczone, iak ſkromne, iak ſtateczne, iak grzeczne, iak niewinne, oto gdyby Anioły! ktokolwiek ich widział, mówił śmiało, iż czaſu ſwego, będą z nich bardzo wielkie Senatory, Kſiążęta, Minarchy!.... A wſzelako kiedy podoraſtali, i na ſwòy chleb poſzli, innemi cale, nad powſzechne oczekiwanie, ukazali ſię.... Pan Woiewodzic, zgrawſzy ſię w karty za granicą, z roſpaczy w łeb ſobie ſtrzelił!... Pan Kaſztelanic, rozpuściwſzy ſię i z ladaiakiemi ludźmi zadawſzy, w poiedynku zginął! Pan Starościc, ztrwoniwſzy maiątek, w niwecz obróciwſzy zdrowie, po-

krzywiony, wywiędły, blady, nędzny, cudze kąty wycierał, i ledwo nie pod murem umarł....

„ A moież dzieci? ah! dzieci, kiedy sobie wiek ich młody wystawiam, któżby im był nayszczęśliwszych losów nie wróżył?... co mi to wasze dzieci w porównaniu z moiemi, ani się umyły do moich!

„ *Leyba* mòy, co to był za chłopiec! iak pięknie stworzony! Wszystkie Państwo i ludzie oddziwować mu się nie mogli. Panie osobliwie wpatrywały się w niego; a dwóch malarzów z Częstochowy, to na obrazy z niego wzory wzięli. Bo to był biały, iak alabaster, tłusty iak pączek, rumiany iak rayskie iabłko, oczki mu się świeciły iak dwa nayprzednieysze dyamenty, usta iak korale, głowa iak melon, nosek iak ogurek, włoski iak aksamit, a peyski kręciły mu się iak warkocz u panny młody; rączki, nóżki, gdyby utoczył; całe ciało niech Pan Bóg broni! iak u Anioła!... Chować go i zamykać musiałem, żeby mi go kto nie porwał.... a iak był żartobliwy, iak podchlebny, iak zalętny, gdyby żywe srebro!... „ Herszte *Abram*, mówiła mi nie raz moia *Sora*, ten chłopiec musi być bardzo wielkim oycem!.... „

„ A *Mosiek*, co to było za dziecie!... W żywocie ieszcze matki, a iuż gadał! samem słyszał kilka razy, iak *ay wey* wołał. A skoro tylko urodził się, w tym momencie, wyraźnie, pamiętam iak dziś, *Selem lechem* powiedział. Pięć tylko ząbków miał, a iuż wszystko iadł. W szóstym roku, zaczął się uczyć pacierza, na pamięć, a w dziesiątym całą bublią i talmud umiał na palcach. Głębokim dowcipem dochodził on wiele rzeczy bardzo wysokich, które się działy na świecie, na krocie tysięcy lat, przed iego urodzeniem i moim, za niewoli Babilońskiey, podczas potopu, a nawet przed stworzeniem świata! Jam sobie nieraz myślił: nu! ten chłopiec do bardzo wysokich rzeczy iest stworzony! „ Tak miał wielką pamięć, że gdy mu raz nauczyciel przepowiedział dwanaście pokoleń Izraelskich; nim ten doszedł do pieca, on ie od razu wszyściuteńkie z książki wyczytał. Wszyscy Salomonem go zwali; a cała Synagoga mówiła, iż od dawnych lat nie pamiętaią tak mądrego dziecięcia w Izraelu!

Herszek, była to rzecz z *Leiby* i *Mośka*, złożona; miał urodę pierwszego, a mądrość drugiego....... Ale co w *Lewka*,

naymłodſze moie dziecie, to wſzyſtkie naydoſkonalſzego ſtworzenia przymioty, całkiem zlały ſię; cudo to było nie chłopiec; ia i moia *Sora*, odkochacieśmy ſię go nie mogli. Jego głowa iego mina, iego mowa, iego ſiła, iego cała oſoba, ukazywała, iż to będzie podpora moiey ſtarości. Nigdy nie popróżnował; zawſze, albo myślił, albo mówił, albo robił; ale proſzę było obaczyć, co on myślił, mówił, robił?.... Nie raz w nocy porwał ſię, świeczkę zapalił, i myślił. A kiedy go matka o to gromiła, i ſpać zapędzała. „Na! mame, odpowiedział, day pokóy, nie przeſzkadzay, ia myślę złoto robić." Wſzyſtko ſobie nudził przy nas, wſzyſtko chciał ſię iak nayprędzey z domu wyrwać: „Tate; mawiał często do mnie, poiadę ia do *Pacanowa*, z *Pacanowa*, do *Brodów*, z *Brodów* do *Zelwy*, z *Zelwy* do *Szkłowa*, ze *Szkłowa* do *Lipſka*, z *Lipſka* do *Amſterdamu*, z *Amſterdamu* puſzczę ſię za morze, za świat, do ziemi obiecaney, tam nazbieram złota, ſrebra, diamentów, rubinów, będę Faktorem, Jubilerem, Bankierem; kupię ſobie kilka okrętów, nazbieram gorzałki, tytuniu, wełny, ſkór, płótna, śledzi, i różnych towarów, i dla mego Tate do Polſki przyſzlę, a dla ma-

me, ſame perły, korale, galony, i brabanckie przednie koronki . . . „

„ Takie to były moie dzieci. O iak mi ſię ſerce radowało, kiedym na nich poglądał! iak wielkie czyniłem ſobie o nich nadzieie! a ieſzcze iakie miałem z moią *Sorą* ſny o nich?

— Nu! powiedz *Abram*, co ſię wam śniło? rzecze *Ryſka.* — Wieleby o tym mówić, iuż i połowy nie pamiętam; ale powiem co przednieyſze:

„ Naypierwſzey nocy po ślubie, śniło mi ſię iakobym chodził po iakieyſiś gęſtwinie, aż ciemno było. Chodzę i chodzę, chodzę i chodzę, i wyiść nie mogę, bo zbłądziłem.

„ Jedną razą ſłyſzę ſzeleſt wielki po wrzoſach, i że ktoś woła na mnie; „ *Abram, Abram* „ — Odzywam ſię: cego waſeć? „ a dla beſpieczenſtwa, wlazłem co prędzey na drzewo. Aż tu wychodzi bardzo wielkie ſtraſzydło, podobne ze wſzyſtkim do węża, okrutnie grube, a tak długie, że i końca iego nie było widać. Przeląkłem ſię niezmiernie, i wyżey zacząłem ſię drapać na drzewo. Alić ſtraſzydło zawoła: ſtòy, głupi, nie bóy ſię, ia ci nic złego nie zrobię. — Ale bo, Miłościwy Pan, rzekłem, ieſt

bardzo ſtraſzny. — Nie ma to nic, odpowiada; na honor, na poczciwość, że ci nic nie zrobię...., ktoś ty ieſt? — Jeſtem *Abram*, Arędarz z *Siepciuchowa*, dóbr dziedzicznych Pana Kaſztelana.... — A ciecie iak tu licho wnioſło? wſzak to ty w Raiu ieſteś? — Nu! ia ſam nie wiem, — Ale ia wiem, mówi ſtraſzydło; ciebie tu Aniołowie zanieśli, boś ty poczciwy Izraelita. — Poczciwſze ſłowo Pańſkie, odpowiedziałem... A miłościwy Pan, będzie łaſkaw powiedzieć ſwemu ſłudze kto ieſt? — Ja ieſtem wąż, rzecze ſtraſzydło; ten ſam, który miałem przyiaźń z *Adamem* i *Ewą* w tym ſamym Raiu... „— Aha! rozumiem, to to może z niemi Pan miłościwy miał facyendę? — Tak to ieſt, miałem cokolwiek do czynienia. — Ale ſię oni ſkarżyli, że ich Pan mocno oſzukał. — A po co dali ſię oſzukać? — *Awey!* niechay Pan miłościwy odſtąpi od ſługi ſwego, bo i ia ſię boię, żeby mnie Pan iakiey biedy nie nabawił — Nie bòy ſię, iuż ia zeſtarzałem ſię, i żadnemi facyendami nie bawię ſię; teraz tylko ſamych proroctw i wróżbów o przyſzłych rzeczach pilnuię. — A nie byłby też Pan dobrodziey łaſkaw, i mnie iakie ſłówko powiedzieć: co ze mną, i z

moią *Sorą*, z którą się dopiero pobrałem będzie? iakie mi urodzi potomstwo? i co się z nim stanie? — Nie mam czasu; ale idź do rzeki *Phison*, która przez ray płynie, chlipniy wody iey siedm razy garścią, weydź w bród do wpół kolan i zchyliwszy głowę ku wodzie, patrz na dno; a tam cały ciąg życia twego, twoiey *Sory* i dzieci losy obaczysz... „ To rzekłszy poszedł w swą stronę z wielkiem ksykiem i szumem, a ia czymprędzey udałem się do rzeki.

„ Nie zmyślił, że w raiu byłem skoro bowiem z gęstwiny wyszedłem, ukazał się ogród niewymowney piękności. Na wschód stał wielki Pałac Adama i Ewy; na południe, widać było z daleka wieżę Babilońską, wychodzącą pod same Niebo. Aniołowie z dobytemi pałaszami trzymali warty do koła raiu; wszystkiego stworzenia pełno było, a wszystkie gadały i wszystkie mi się kłaniały, i ia im także. To zaś osobliwsza, iż skoro tylko z gęstwiny do samego raiu wszedłem, tak natychmiast wszystkie ze mnie suknie, nie wiewiedzieć gdzie, zniknęły, a ia goluteńki zostałem. — A to za co? przerwie *Leyzerowa*; Bo widzicie, w Raiu, nagi człowiek być powinien, tak iak Adam i Ewa.

„ Nie wiele co uſzedłſzy, napadam na rzekę; ſtanąłem nad nią, myślę, czy to ta rzeka *Phiſon*? czy inna? alić czapla, ſtoiąca nad wodą, zapyta mnie: czego ſzukaſz? „ odpowiadam: miłościwa Pani, ſzukam rzeki *Phiſon*. — A to ią maſz przed ſobą, rzekła do mnie, i ukłoniła mi ſię po francuzku.

„ Idę w brod rzeki, chlipam ſiedm razy garścią wodę, ach! coż to za ſłodycz, gdyby cukier, a co tam bogactwa, ſcerne złoto i kleynoty! Stanąłem, tak iak mi wąż przykazał, patrzę na dno; ſłuchaycie, co ia widziałem.

„ Widziałem, iakoby koncha bardzo wielka, wydała cztery perły, iednę po drugiey, oſobliwſzey piękności. Te perły roſły, roſły, roſły, iak ciaſto, i potym ſię przemieniły. Jedna w przesliczną iabłoń, ułożoną w koronę. Druga w winną latorośl, z wiſzącym iednym gronem winnym, doyrzałym, aż popękały iagody. Trzecia w iakieyści drzewo nieznaiome, gładkie, prościuchne, a bardzo wyſokie. Czwarta w rybę, podobną do węgorza, ze ſłońcem na czole, i prągami rubinowemi po grzbiecie; ta ryba, wiła ſię, wiła po ſitowiu, uplątała ſię w

nim, i pluſnąwſzy ogonem, zabryzgnęła mi oczy, i zmąciła wodę w rzece.

„ Gdy czekam, aż ſię woda uſtoi, długo będąc nachylony ku rzece, naturalnie zakręciło mi ſię w głowie, wpadłem na łeb, zacząłem tonąć; iedną razą, iak ſię rzucę z całey ſiły, uderzyłem iedną ręką w ſcianę, a drugą w *Sorę*, aż ſię obudziła i krzyknęła: *Abram*, co ty robiſz? „

„ Opowiadam iey moy ſen, ona mi też prawi o ſwoim. „ Sniło mi ſię, rzecze, iakbym miała robić łokſinę na ſzabas; i poſtawiwſzy na ſtole krobkę z iaiami, gdy ie biorę bić do ciaſta, alić z pierwſzego wylatuie bocian, z drugiego orzeł, z trzeciego gołąb, a z czwartego bardzo piękny kanarek z dyamentem na głowie. Bocian, wyleciał na dwor przez drzwi, i uſiadł na wyſokim dębie na bronie z gniazdem. Orzeł, wyſkoczył przez okno, i wyſoko po powietrzu buiał. Gołębia, gdym po izbie goniła, wpadł na rożen, i na nim ſię upiekł. A kanarek, wleciał do klatki, i bardzo pięknie ſpiewał... Nu! *Abram*, powiedz ty mnie, co to ma znaczyć? „

„ Ja iey rzekłem: Herſte *Sore*, nie ſpoſob! to muſi bydź obiawienie z Nieba. „ Rayſki ogrod, ieſt to ten ſwiat. Rze-

ka, to ieſt życie. Łokſina, to ieſt naſz ſtan małżeńſki. Koncha, to ty ieſteś moie *Sore*, Cztery perły, i cztery ptaki, to będzie naſze potomſtwo: łacno to wſzyſtko można tłómaczyć. Ale co znaczą te drzewa i ryba, wkrótce ſię odmieniły perły; co ten bocian, orzeł, gołąb i kanarek, któreś widziała, to przytrudniey ieſt zgadnąć! Czy nieſzczęście nagodziło owę rybę oſtatnią, że mi wodę zmąciła, i żem wpadł do rzeki! gdyby nie ten przypadek byłbym może dowiedział ſię, co to wſzyſtko znaczyło?.... Ha! poczekay ieno, będziemy dochodzić. „Jabłoń rayſka, to piękne drzewo, obiecuie nam bardzo piękny owoc, w koronie, czyli wieńcu ſzczęśliwości. Winna latorośl, to pociechą. Nic nie ſzkodzi, że iedno grono wiſiało; bo za to miało bardzo wiele iagód, iuż doyrzałych, aż zapach ſzedł z daleka. Trzecie drzewo, lubo nieznaiome, bez gałęzi i owocu, muſi wyniść na dobre! bo do nieba wyraſtało. Ryba bardzo piękna ze ſłońcem i pręgami rubinowemi, znaczy mądrość bogactwa i przemyſł..... Twóy bocian, to dobry ptak, na dębie wyſokim, na bronie, na gnieździe; to trwałość, honory, chleb, i pomyślność; Orzeł, Monar-

Monarchiczny ptak, na powietrzu, oznacza państwo, honory i godności... Gołąbek, a to niewinne i szczęśliwe stworzenie, żebyś go była nie strafzyła, toby był nie wpadł na rożen; ale nic to, rożen znaczy obrot, przemysł, potrzebne przymioty do handlu; a ogień, to wspaniały żywioł. Nad kanarka, nie może być przyiemnieysza ptaszyna; dyament na głowie, to mądrość; a śpiewanie, to pociecha i sława... To sęk, moia *Soro*, że nie wiemy, czy te twoie ptaki, padaią na moie trzy drzewa i rybę? czy też móy sen znaczy synów, a twóy córki? Obaczemy, iak Pan Bóg życia pozwoli, iakie będziem mieli potomstwo. „ Tak my to sobie w ten czas z *Sorą* tłumaczyliśmy sny nasze, i nadzieią cieszyliśmy się.

„ Osobliwsze sny! rzecze *Ryfka:* a wieleż *Abram* dzieci miałeś? — Czterech synów. — Nu! to się sen ziścił. — Ach! ziścił się, ziścił, westchnie *Abram;* ale bodayby się niebył ziścił! Zprawdziło się co do liczby potomstwa; zprawdziło co do znaków, iakie o nich miałem; sprawdziło i co do skutku; ale ach! iak gorzko, iak żałośnie dla mnie! iak cale opacznie, aniżeli sobie wróżyłem!... *Leyba*, móy *Leybecek* naymilszy, com go widział iabłonią w koronie, a moia *Sora*, bo-

cianem na bronie, w przeklętym *Toruniu*, żywcem w koło wpleciony!... *Mosiek*, owe grono winne na latorośli, i orzeł na powietrzu, *w Wilnie* obieszony!... *Herszek*, niewinny gołąbek, wbity na pal, iak na rożen, w *Barze*; a może ieszcze nie na tak gładkim drzewie, iakie mi się ukazało!.... A *Lewek*, iedyna moia pociecha, pieczętowany, smagany, siedzi tu w *Warszawie* w prochowni, iak kanarek w klatce, i zamiast, owego śpiewania, które *Sora* słyszała, woła przez kratę ratunku! Nie darmo on się w ten czas wił rybą po sitowiu; bo to znaczyło kaydany: nie darmo mułem rzekę zamącił; bo teraz po ulicach błoto skrzybie; nie darmo mi oczy zabryzgnął; bo teraz gorzkie łzy nad nim wylewam: z iego wtedy przyczyny upadłem w rzekę, i tonąłem; to też teraz z iego przyczyny w ostatniey nędzy i smutku pogrążony pędzę nieszczęśliwą starość moię.... „ To rzekłszy, nuż się kiwać *Abram*, nuż wyrzekać, nuż płakać.

Jakimże sposobem na taki koniec przyszli? spyta *Leyzerowa*. — Abo ia wiem, odpowiada *Abram*. Wychowałem ich, iak tylko mogłem naylepiey; ciągnąłem się do ostatniego, nie żałowałem niczego. Gdy po-

drośli, pożeniłem; a zapomógłſzy podług moiey chudoby, puściłem między ludzi.... Powiadaią na *Leybę*, że rozbiiał po drogach, dwory naieżdzał, kościoły rabował... Wątpię, żeby to ſię na nim pokazało. Prawda, że on z młodu ieździć lubił, że był nabożny; ale też przy tym był wielki tchórz, i ſtraſznie polityczny. *Mośka* oſkarżono, że fałſzywą robił monetę; nie wierzę ia temu, on tylko herby umiał wyrzynać... *Herſzkowi* dziwne rzeczy zadano; co on temu winien, że do wſzyſtkiego był ſpoſobny!... Co *Lewek*, to prawdziwie niewinnie cierpi. Miał ochotę do facyendów, handlował wexlami, fantami, nu! i dla tego on ma być hultay i złodziey?...

„Czy nie przeklął ich kto? abo wy ſami, odzywa ſię *Ryſka*, — Może i to być; bo prawda, że iak podraſtali, to trochę pſotni byli. Matkę także mieli za nic; ona też nie cierpliwa była, to im może źle pomyśliła...

— Muſieliście ich pieścić, muſieliście im za młodu wiele pozwalać, mówi *Ryſka*. — A iakże nie było pieścić takie Anioły, kiedy to ſię koniecznie kochać kazało! Oycem byłem, nie miałem doświadczenia, zatopiłem ſię w dzieciach. Oy! teraz, wie-

działbym iak z niemi poſtępować: umiałbym im dać wychowanie; ale darmo; iuż po czaſie!... Tyſiącznemu oycu i matce powiadam: „ Miarkuy miłość twoię ku dzieciom: daway pilną baczność na naymnieyſze ich poſtępki i ſkłonności dziecinne: ucz boiaźni Boga, uſzanowania rodziców, miłości bliźniego, i poczćiwości: a bardziey ſerce, niż rozum; więcey duſzę, niż ciało układay. „

W tym nadeſzli nieſpodzianie ſtrażnicy z pachołkami na rewizyą, i zerwali Seym żydowſki.

UCINKI.

Pewny kaznodzieia, uſłyſzawſzy podczas kazania ſwego rozmowy, przerwał mowę, i publicznie do ſłuchaczów zaniósł o to zażalenie. Smiała iakaś kobieta, ochraniaiąc płeć ſwoię, odezwała ſię w głos: *Nie z naſzey to ſtrony, Mości Xięże, nie z na-*

ſzey, ſą te rozmowy. „ Tym lepiey, rzecze kaznodzieia, bo ſię prędzey zakończą. „

Sławny piiak, w oſtatnim zgonie życia, proſił przyiaciela, ſiedzącego przy ſobie, żeby mu podał kubek z wodą: „ *przed śmiercią,* Moſpanie, *trzeba ſię poiednać z ſwemi nieprzyiaciołami.*

Gaſkończyk, który z męſtwa i odwagi ſwoiey często chlubił ſię, zoſtaiąc w pewney okazyi, zaczął uciekać. „ Moſpanie a gdzież, to ieſt owa twoia odwaga, zawołał ieden na niego! — W nogach, bracie, w nogach, odpowiedział Gaſkończyk.

Pewny cudzoziemiec, przedał był Ceſarzowey Rzymſkiey fałſzywe kamienie. Zanioſła nań o to ſkargę do męża, i domagała ſię kary ſurowey. Ceſarz pełen dobroci i litości, dogadzaiąc chęciom żony, zkazał go na pożarcie beſtyom. Wyſtawiono Jubilera na placu, Ceſarzowa udała ſię z całym dworem, patrzeć na to widowiſko, umierał od ſtrachu Jubiler; a gdy iuż ſpuſzczać miano ſrogie zwierzęta, wypuſzczono baranka, który ſpokoynie przyſtąpił do winowaycy i łaſił ſię do niego. Rozgniewana Ceſarzowa

niezmiernie, pobiegła do męża, żaląc się na ten oczywisty wyrządzony sobie affront.— „ *Proszę się uspokoić*, rzekł do niey Cesarz; podług prawa *Wetowego* ukarany iest zbrodzień; oszukał on W Panią, to też sam na wzaiem został oszukany. „

Prosty chłop przyszedł do Kościoła, przed wielki ołtarz, obaczył wiszący w rogu turybularz, w którym tylko co zalane węgle, że był ieszcze dosyć gorący. W mniemaniu, iż to z relikwiami pacyfikał, podniósł go za łańcuszki, pocałował, i sparzył się, „ A! dla Boga! krzyknie w głos, iam rozumiał, że tu są relikwie którego świętego, króluiącego w chwale niebieskiey; a to widzę są prochy człowieka, będącego ieszcze w czyscu, i wielkich bardzo ogniach być musi, bo ma gębę strasznie gorącą!...

Ludwik XIV. znayduiąc się na Psalmach Dawida granych z muzyką, słysząc owe Psalmu słowa: *sicut nicticorax in domicilio.*— iako puszczyk w domu: spytał iednego z swoich Opatów: co to się znaczy *nicticorax*? Biedny Opat, nie tęgi w łacinie, zkręcił się szalenie natę zagadkę; ale przecie, darem przytomności wywinął się: *nicticorax*, Nayia-

śnieyſzy Panie, rzecze: tak ſię nazywał ieden z Leyb Gwardyi Króla Dawida. Niewinniuteńko, puſzczyka przerobił na Gwardyaka!

Podczas tragedyi *Abdilli*, nim ią grać zaczęto, poſtrzeżono z parteru iednego *Labbuſia*, na teatrze w loży na pierwſzym piętrze. Że w tych łożach Damy poſpolicie mieścić ſię zwykły, iaki taki z parteru wołać począł: *proſiemy na dół Mr. l'Abbe do naſzey kompanii*. Siedział cichuteńko na to *Labbus*, i udawał, iakoby to nie ściągało ſię cale do niego: Ale gdy coraz bardziey nań wołać, kiwać i świſtać zaczęto, powſtawſzy, taki im komplement oświadczył: „ Z wielką chęcią, Mościpanowie, miałbym ſobie za ſzczęście ſłużyć WPanom; ale gdy mi w ich kompanii ukradziono złoty zegarek; wolę od tąd na teatrze mieyſce przepłacić, niżeli ſzczerozłotą tabakierę w niebeſpieczeńſtwo podawać. „ Smiech powſzechny powſtał i poklaſki z tey iego odpowiedzi, a on ſobie w ſwey loży zoſtał ſpokoynie.

Pewny ladaiaki komedyant, wyświſtany w każdym mieście, do którego tylko udał ſię, gdy go w iednym mieyſcu nadzwyczaynie iakoś źle traktować zaczęto, odchodząc

z ſceny, obrócił ſię do parteru, i z wielką ſpokoynością oświadczył. „Pewien ieſtem, Mościpanowie, iż ſzykanować mnie zprzykrzy ſię wam Nie w iednym iuż to mieyſcu, z taką czcią mię przyimowano, i nakoniec uſtano. „ Podobała ſię wſzyſtkim ta iego ſzczerość, i od tego czaſu ſpektatorowie byli łaſkawſi na niego, chociaż on nie zoſtał przeto lepſzym Aktórem....

SOWA.

Powieść od Nowomieyſkiey Bramy.

Pewna zachodnich państw Królowa,
(Nie pamiętam, iak ſię zwała;
Alboż to tego mało,
Królewſkiemi berły władało?
Nie moia w tym głowa,
Zeby wſzyſtkie ogarnąć miała.)
Mnieyſza o nazwiſko: doſyć że Monarchini,
Ziemſka Bogini,
Była iedyną pieſzczotą Tronu,
Oczkiem Dworu,
Celem ſerc wylanych,
Wiernych poddanych;
Haſłem naywyżſzego tonu,
Wzorem guſtu i poloru.

Wſzyſcy na iey zdanie,
I Panowie i Panie,
Slepo przypadali,
We wſzyſtkim ſię ſtoſowali.

Ona mody ſtanowiła,
Wſkrzeſzała, odmieniała, znoſiła.
W iey kſztałcie i kroiu,
Tworzyły ſię wſzyſtkie gatunki ſtroiu:
Roby, ſalopy, kaptury,
Kweſy, kapiuſzony,
Kornety, fryzury,
Sznorówki, rogówki, ogony,
Gorſety, kaftaniki,
Staniki, podwłośniki,
Pudry, pomady,
Mydła, marmelady,
Farby, oleyki, gumy,
Balſamy, ſpirytuſy, perfumy,
Pachnące,
Smierdzące,
Panieńſkie, kawalerſkie wody,
I krocſet million tyſięcy dziworody.

Co polubiła, to kochano;
Co pochwaliła, to ſzacowano;
Co zganiła, to ganiono;
A czym wzgardziła, to za świat wypędzono.

Jednego dnia, gdy z całym Dworem,
W wieyſkim Pałacu poźnym wieczorem,
Po chłodzie,
Bawi ſię w ogrodzie;

Sowa z puſtey chłopſkiey ſtodoły
Wyleciała, i okrążywſzy królewſkie ſtoły,
Właśnie na ſamey altanie,
Gdzie z Monarchinią naypierwſze Panie,
Cieſzyły ſię przy wdzięczney kapeli,
Siada; a gdy ſobie podweſeli,
Zarznie kuranta ku lepſzey ochocie
Na ſwym ſagocie.... „

Przecudna melodya obiia ſię o uſzy Królowy,
Ta pyta z ciekawością, co za *Virtuoz* nowy?
„ Ptak? czy zwierze? czy iakie ſtworzenie?
„ Pod nocne cienie,
„ Tak przedziwnie trele wywodzi?
„ Gdzie ſię chowa? gdzie ſię rodzi?

Poważny wiekiem Pan Radny
Odzywa ſię: „ A to ſowa,
„ Miłościwa Królowa,
„ Nocny ptak, koczkodan ſzkaradny;
„ Przed światłem ſię kryie.
„ Okropnie wyie;
„ Od wſzyſtkich ohydzona, (dzona,
„ W puſtkach lęże ſię i chowa wzgar-
„ Tetryczna i ponura,
„ Szaro bura;
„ Łeb ogromny, toku nie foremnego,
„ Wyraża żbika leśnego;

„ Sama wielkości gołębia,
„ Na wzór Jaſtrzębia;
„ Drapieżna, ma dziob zakrzywiony,
„ Okrutne ſpony,
„ Scierwem plugawym ſię paſie,
„ A w którym tylko czaſie,
„ Zaprowadzi huki ſwoie,
„ Pewne nieſzczęście, troſki i niepokoie.

— „ Jakożkolwiek bądź, radabym ią poznała;
Bom iey ieſzcze nie widziała...
Rzekła Pani. Alić całe nader liczne grono,
Jakby na gwałt uderzono,
Porzuca ſtoły, ſtoliki,
Darnie, labirynty, chłodniki;
Od kart, od tańców, od ſzeptów, od igraſzek,
Od kieliſzków, od flaſzek,
Hurmem leci w zawody,
Przez kanały, rowy, kaſkady.
Kwatery, ſzpalery, dzikie promenady,
Pełno wſzędzie ſzkody!...

Niezmierne ludu zgraie,
Otaczaią Pańſkie gaie;
Trzeſzczą drzewa, dachy, kominy,
Pękaią okna, drabiny:
Wſzyſcy chwytać ſowę radzi,
Jeden nad drugiego ſię ſadzi,

Niedba choćby się oka, nosa i głowy pozbawił
Aby tylko sowę Pani przystawił.

Po długim do samego świtu lataniu,
Na sowę polowaniu,
Przecie ią nakoniec w ciasny kąt wpędzono,
Zchwytano, i Królowey przyniesiono.

Ogląda Królowa;
„ Czy to to, spyta, sowa?
– To, miłościwa Pani: (się na ni,
– „ A przepraszam, moi Panowie, nieznacie
To przecudne stworzenie,
Jakie ma wdzięczne spoyrzenie!
Oczki zielono majowe
Właśnie kamyki szmaragdowe!
Jak osobliwe piura,
Nakształt jaszczura! (wcip bystry,
Wielka głowa, niechybnie takiż rozum i do-
Patrzy na Ministry!
Ale nosek iaki ładny,
Na wzór Greckiego składny!
Cobym za to dała,
Żebym takie oczy i nos miała! ...

Pfe! papugi, strusie, pawie,
Ludzi i źwierząt urody, (prawie,
Róże nawet, lilie, i wszystkie kwiaty
Nie warte iey podać wody....

Proſzę ią znieść do mego pokoiu,
W złotą klatkę wſadzić,
W złotey miednicy dać wody ze zdroiu,
Mięſa z bażantów nagromadzić,
A! ſoweńka miła,
Będę ſię z nią dzień i noc bawiła..,
Jutro zaraz dla moiey ſowy,
Daię bal maſkowy.
Od iutra, Mościpańſtwo donoſzę, nowa moda
An der hibou; czy zgoda?

— Zgoda i wielka zgoda na rozkaz twóy Pani,
Krzykną poddani; (ſowie,
Dziś ieſzcze na dobry dzień czy dobra noc
Przepiiem puharami iey zdrowie:
„ Hey *vivat* ſowa, cudo świata! (lata! „
„ Niech w ſzczęściu i honorze pędzi długie

Już ſię dobrze rozwidniło;
Już i ſłońce wſtąpiwſzy na obłoki,
Swietny punkt zakreśliło
Nowey *An der hibou* epoki.
Gdy Królowa z całym dworem,
Sowim torem,
Do ſpoczynku ſię udała;
Bo według ſowiego kalendarza i peryodu,
Aż dopiero od zachodu,
Nowa moda uroczyście zacząć ſię miała,

Zſzedł dzień; okryły ziemię nocne cienie ;
Tu to było widzieć nowey mody wprowadze-
Fraſzka Rzymſkie i Greckie widoki, (nie,
Weneckie śluby morza, maſzkarady,
Tryumfy Bohatyrów, Olimpickie ſkoki,
Względem ſowiego balu parady.

Od ſtóp do głów wſzyſtkie Państwo i
Wygląda iak ſowa; (Królowa
W ſowim kolorze, ſowiey fryzurze,
Sowich piórach, ſowiey w tańcu pozy-
An der hibou zaſtawione ſtoły, (turze;
Ciaſta, cukry, trunki, ſoki, ſoſy, roſoły.
Pierwſzy raz, iak żyią ludzie na świecie,
Dano na tym balu myſzy w paſztecie:
Od *hu! vu!* tańce i ſztuki gra muzyka,
Wſzyſtkie kompozycyi Pana Puſzczyka.

Ale to ſą dopiero próbki tego,
Co ſię działo w ſtolicy Państwa owego,
A z niey na świat cały,
Jakie ſię dziwy rozlały!

Ja tylko dotknę niektóre;
Bo czyiaż moc myśli,
Wſzyſtkie ogarnie, wſzyſtkie okryśli?
Chybaby z tego wołu,
Co dwanaście gór wielkich ziada poſpołu

Przyſzło zdiąć ſkurę,
Y na niey opiſać ſowią awanturę.

Ledwo co na Pańſkim dworze
Stanęło o ſowim wyborze;
Ledwo co nowe hasło nowey modzie
An der hibou nadano w ogrodzie;
Jeſzcze Królowa ze wſi nie powróciła,
A iuż z ſtolicy ſowa ſię zrobiła.

An der hibou wſzyſtkie damy,
An der hibou wſzyſtkie kramy,
An der hibou fabryki, krofna, warſtaty,
An der hibou ſukna, cyce, bławaty.

Kornety, peruki,
Zegarki, tabakiery,
Wſtążki, chuſtki, wachlarze,
Szpady, laſki, kalendarze,
Lokaie, hayduki,
Karety, kocze, portiery,
Y cechy,
Y wiechy,
Obarzanki nawet, śledzie, masło, ſery;
Wſzyſtkie ſowie znamie noſzą,
Wſzyſtkie *An der hibou* głoſzą:
Co tylko ieſt ſowiego,
Nad to nie maſz nic lepſzego.

Jaki

Jaki taki oczy mruży,
Narzeka, że mu widok słońca nie służy;
Spi we dnie, w nocy czuie,
Sową się pieczętuie;
A nuż przez iaki związek do własności sowy,
Zyszcze łaskawe względy króla i królowy!

Tak kuchta, co na Pańskim dworze,
Mył rądle i sagany,
Y ostatniego popychacza
Posługi sprawował;
Ze miał łeb iak sowa rozkudłany,
Y głos puhacza,
Na pierwszego faworyta się wykierował,
Także ubogi garbarz, przez sowi nos i spony
Baronem zrobiony!

Widzi to *Parnass* zagorzały,
Y on też sowiemi ryknie pochwały,
Dowcipne poety, mowne oratory,
Sypią wiersze, rzną perory;
Toż Pamiętniki,
Merkuryusze, Dzienniki,
Wywodzą obszerne sowie przymioty,
Własności, cnoty;
Równaią Monarchinią,

Z mądrości Boginią;
Dla sowy,
Robią Minerwę z królowy.

Hasło nowey *An der hibou* mody;
Ogarnia wszystkie Narody.
Ach! coż się to dzieie!
Wszak i nasza Warszawa za sową szaleie?
A chociaż pustki Polskie i gaie,
Obfituią dosyć w sowie rodzaie;
Wszelako po obce gatunki,
Szlą za granicę złota ładunki,
Nie iednego milliona,
Polska przez to pozbawiona:

Ot przecie biedna *Kruszwica* cokolwiek zyskała;
Bo gdy Królowa się dowiedziała,
Iż nayprzednieysze sowie specyały,
Myszy, w tey lichey mieścinie,
Monarchicznemi wypasłe ciały,
Chowaią się osobliwszego nad inne rodu;
Wraz skinie,
Aby choć z tak odległych stron zachodu,
Wszystkie *Kruszwickie* myszy zakupiono,
Y dla soweńki przystawiono.

Długo też soweńka w modzie była?
Oto póki królowa dudka nie zoczyła.

Po dudku, naſtąpiły wkrótce ślimaki.
Po ślimakach, żołwie, raki,
Pchły, świerſzcze, pluſkwy, ſtonogi.
Swinie ryie, ſłonie trąby, ielenie rogi;
Zgoła wſzyſtkie dziworody,
Trzeba uczcić darem mody.
A gdy całą naturę w kółko okrążemy,
To ſię znowu w tym tańcu *da capo* wróciemy.